

Chełm - 80

Bronisław Kowalski str. 4

Życie blisko Sztuki

Mirosław Derecki str. 6

Matka

Tadeusz Jasiński str. 8

Kammena

LUBLIN 2 IX 1979 NR 18 (686)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

WRZESIEŃ 1939

Wrześniowy trud piechoty

Łobdan Królikowski



Warszawa 1939 roku. Pozycje artylerii przed dworcem kolejowym.
Stanowisko ciężkich karabinów maszynowych

Fot. CAF

NIE wiem, kto nazwał piechotę królową broni. Bo przecież artylerzyści deklamowali o „jej królewskiej mości artylerii”, „Nie masz pana nad ulana” — śpiewano w konnicy. A piechota? „Zajęcie” — jak mawiano pogardliwie. „Szara piechota”, gdzie jej tam do królewskości! Bo to przecież ani artylerzyjskiej potęgi, ani barwności i fantazji jak w jeździe. A jednak...

Ot, weźmy choćby dziecinne wspomnienia pokolenia dzisiejszych jegomościów pod pięćdziesiątkę. Więc wytrzeszczało się oczy na wojsko. Gładziło się na defilady. Wypatrywało się ulanów. Nadsluchiwało trąbek. Rozdziawiało się gębę, kiedy jechały armady, hurgocząc po kociach łbach. Czasami zadzierało się głowę do góry: leciały samoloty — „pezetele”, „erwudziaki”. Ale jądrem defilad była piechota. Ją też zapamiętało się najlepiej.

Walilo to bractwo zwartymi szeregami, łomocząc dziarsko po bruku podkutymi buciorami. Szli w takt bębna. Hełmy, karabiny najeżone bagnietami, na skrzydłach oddziałów połyskiwały oficerskie szable. Szli. Granatowe patki kolnierzy, zygżaki wężyków, szorstkie sukno mundurów, nogi w owijaczach. Patrzyli zuchowato. Zadzierzyście. A z tłumy sypały się kwiaty. Przed nimi sztandar. Piechota, królowa broni...

Było jej bardzo dużo w naszym wojsku we Wrześniu. Miała rozstrzygać „batalii los”. Bo przecie masa: 39 dywizji, bataliony strzelców przy brygadach kawalerii, Obrona Narodowa, obrona Wybrzeża, KOP... Mieliliśmy dużo piechoty. I to dobrej.

Dokończenie na str. 4

Władysław Broniewski

CO MI TAM TROSKI

Byleby w garści karabin, taki co w boju nie chybi,
co mi tam śniegi Syberii, co mi tam piaski Libii,

co mi tam obóz, więzienie, głód, poniewierko, skorbut —
radość żołnierską ładuję, jak chleb i naboje, do torby!

Na nic mi wszelkie nagrody, na nic mi wieńce sławy,
potrzebne mi mocne buty, żeby w nich dojść do Warszawy.

Chcę, żeby głośno dudnił po świętym warszawskim bruku
obcas latany w Narviku, gwóździ wyszczerbiony w Tobruku.

Wiele się łądów zdeptało, wiele się krajów obeszło,
a ziemia wciąż była polska pod każdą żołnierską podeszwą!

Co mi tam bogactw szukać — ja nie mam nic oprócz pieśni,
siedem niemieckich granatów mój dom rozwalilo we Wrześniu.

Był koło domu ogródek, w nim trochę warzyw i kwiatów...
ja chcę wygrzebać z tej ziemi siedem niemieckich granatów!

Chcę ucałować tę ziemię, którą ukochał dzieckiem,
a jeśli paść, to gdzieś w Kraju, na piachu, na mazowieckim.

Co mi tam troski, kolego! Idziemy przez kontynenty,
lecą nasze eskadry, płyną nasze okręty,

my pokażemy światu, że Polski jesteśmy warci,
byleby but był mocny, byle karabin był w garści.

Czy Wisła mogła być linią obrony?

Ryszard Nowosad

WYNIK samotnie prowadzonej wojny z Niemcami w realiach 1939 r. był przesądzony i nie-trudny do przewidzenia — wygrać jej nie mogliśmy. Zaskoczeniem natomiast — i to nie tylko dla sztabowców polskich — było tempo działań i szybkość poniesionej klęski, nawet jeżeli uwzględnicie niemiecką przewagę ilościową, a przede wszystkim techniczną.

Nasuwa się więc nieodparcie pytanie: czy wobec nieuchronnej groźby konfliktu polsko-niemieckiego zrobiono wszystko, by w optymalny sposób wykorzystać istniejące możliwości i maksymalnie przedłużyć opór, zwiększając szanse na wojnę koalicyjną?

Dowódcy armii i grup operacyjnych otrzymali 21 marca 1939 r. następujące zadania: SGO „Narew” — bronić północno-wschodnich obszarów kraju; armia „Modlin” — bronić Mazowsza, osłaniać Warszawę od północy; armia „Pomorze” — bronić Pomorza; armia „Poznań” — osłaniać Wielkopolskę z gotowością do przeciwdziałania w kierunku północnym i południowym; armia „Łódź” — zamknąć kierunki operacyjne prowadzące ze Śląska Opolskie-

go na Warszawę; armia „Kraków” — bronić Śląska i Pogórza; armia „Karpacie” — zamknąć przełęcze karpackie na drogach prowadzących ze Słowacji.

W rezultacie polskie siły zbrojne rozmieszczone linearnie na froncie o długości ponad 1700 kilometrów nie tworzyły linii obrony, lecz jedynie płytka przesłona, której przerwanie przez nieprzyjaciela natychmiast zagrażało tyłom. Powstałych w tym długim lecz cienkim kordonie wylomów nie było czym „zalatać”, z powodu szczupłości odwodów. Jednocześnie niektóre armie znajdujące się na biernych kierunkach operacyjnych (armia „Poznań” i SGO „Narew”) do 9 września nie brały udziału w wojnie. Niemiecka przewaga techniczna sprawiła, że okrążone armie polskie były się oddzielnie, każda z osobna.

Linearne ugrupowania i wojna pozycyjna stanowiły zaprzeczenie nowoczesnej myśli wojskowej, której istotą był manewr na skrzydła i tyły przeciwnika.

Dokończenie na str. 5

5 VIII. Nastawiłem budzik wczoraj wieczorem na piątą. Właśnie dzwoni zajadnie. Wyglądam przez okno: leje. Nie ma co — ładnie zaczyna się mój urlop! Kiedy jednak po kilkunastu minutach zaczynamy z Teresą znosić rzeczy do bagażnika, nieco się rozjaśnia. Można spojrzeć na świat bardziej optymistycznie. Diana leży pod biurkiem, udaje, że śpi, ale od czasu do czasu lypie smętnie oczyma. Zapewne myśli, że znowu zostanie w domu. Kiedy jednak słyszy: „Diana, jedziemy”, momentalnie się ożywia i biegnie do drzwi merdając ogonem. Potem zajmuje swe stałe miejsce na tylnym siedzeniu malucha i już go ani na moment nie opuszcza, jakby w obawie, by państwo się przypadkiem nie rozmyślił.

Niedziela, godzina szósta, szosa niemal pusta. Wozów ciężarowych nie ma prawie wcale. Pogoda nie zachęca posiadaczy czterech kółek do weekendów. Kto zresztą miał wyjechać, uczynił to już wczoraj, w wolną sobotę.

Koło Garbowa samochód zaczyna się charakterystycznie kołysać. Guma! To się nazywa mieć pecha! Przede mną ponad 800 kilometrów jazdy. Dzień wolny od pracy, nie ma nadziei, aby gdzieś załatać dziurę. Na razie mam jeszcze koło zapasowe, ale gdyby historia się powtórzyła... Wolę nie myśleć!

Warszawa wita nas słońcem. Skręcam na szosę prowadzącą w kierunku Poznania. Tym razem chcę poznać inną drogę, nie tę przez Toruń i Bydgoszcz. Pierwszy postój za Sochaczewem. Obok — wóz wycieczkowy. „Strasznie tłukliśmy się tu z Niemcami w trzydziestym dziewiątym” — mówi siwawy pan i zatacza krąg ręką. Ludzie milkną. A potem dziwnym wzrokiem patrzą na mercedesa z zachodniomiemiecką rejestracją, który zatrzymuje się w sąsiedztwie. Nie mijają pięć minut, a na parking wtacza się zielony trabant z literkami DDR. I w jednym i w drugim samochodzie siedzą młodzi ludzie, których zapewne na świecie nie było, gdy tu toczyły się boje...

Między Sochaczewem a Kutnem jeden wielki jarmark. Sprzedawcy rozłożyli co kilkadziesiąt, co kilkaset metrów prowizoryczne stragany z dorodnymi jabłkami, ogórkami i pomidorami. Jakiś Niemiec ładuje do wozu olbrzymi wór. Czyżby już zapasy na zimę?

Przed Wrześnią skręcam w prawo. Tak, to ta Września słynna ze strajku dzieci, które wystąpiły przeciwko germanizacji. Teraz obieram kierunek na Gniezno. Szosa jest dość wąska — przed nami cała defilada bizonów. Mijam jeden, drugi, trzeci, ale dalej już trudno mi się przecisnąć. Rezygnuję i jadę w ślimaczym tempie, myśląc, że może skierują się wreszcie na boczną drogę. Nie myślę się...

Przed Gniezmem — las. Znow krótki odpoczynek. Diana łapczywie chlepcze wodę. Dawno już nie jechała tak daleko.

Gniezno klepsko oznakowane i brudne. Trochę błędę po mieście. Upał dotkliwie daje się we znaki.

Piła — to prawdziwe zaskoczenie. Do miasta wjeżdża się dwupasową arterią. Wokół pełno kwiatów. Byłem tutaj dwadzieścia lat temu. Wówczas jeszcze widziało się rudery i puste place. Wojna solidnie poturbowała miasto. Dzisiejsza Piła, stolica województwa, prezentuje się niezwykle okazale. Szerokie ulice, wieżowce, ronda, nowoczesne sklepy. I czystość, że aż przyjemnie patrzeć. Jak tutaj mieszkańcy umiają dbać o porządek!

Walczy-Czaplinek — Połczyn Zdrój — to kolejny etap podróży. Przeuroczy odcinek między Czaplinkiem a Połczynem! Jechać trzeba wolno, bo szosa przebiega zygzakami, ale jakie widoki otwierają się raz za razem! Jezioro goni jezioro. Gdyby ten teren należało zagospodarować, mógłby on stanowić prawdziwy raj turystyczny. Ale wówczas cywilizacja przekreśliłaby dzisiejsze piękno.

Województwo koszalińskie zadbane. Później nawet bez informacyjnej tablicy odczuwam, że znalazłem się w innym województwie — szczecińskim.

O dziewiątej wieczorem po piętnastu godzinach jazdy jesteśmy na miejscu, w Niedźwiedziskach. Czesław Morawski, stary przyjaciel, rodem z Dubienki, emerytowany nauczyciel, ten sam, o którego losach pisałem przed rokiem, gości kalafiorami z własnego ogródka. Znajduje się i coś krzepkiego. Jest szczególna okazja: Czesław zawarł nowy związek małżeński. Dorodna Teresa, imienniczka mojej żony, o głowę wyższa od swego małżonka, zachęca do jedzenia. Najbardziej zmęczona jest Diana. Rozłożyła się w kącie i świat przestał dla niej istnieć.

9 VIII. Kilka dni odpoczynku mamy już poza sobą. Niedźwiedziska to wieś niewielka, mieszka tu zaledwie osiemnaście rodzin. Konie podobno są, ale dotąd żadnego nie widziałem. Uliczkami jeżdżą traktory. Nawet traktorem zagania się krowy do obory. Wieś należy do przodujących w województwie pod względem dostaw mleka. Nastawiła się na specjalizację. Sąsiad, noszący takie same jak i ja nazwisko, ma kilkanaście krow. Ale następcy brak. Cztery synów znalazło sobie pracę gdzie indziej. Od czasu do czasu tylko któryś z nich zajrzy, ale bardziej jako wezasowiec. „Przyjdzie mi oddać ziemie za rentę — mówi. — A szkoda. Tak się tutaj naharowałem.” Podobną opinię wyraża Słomkowska, która gospodaruje naprzeciwko.

Mleko prosto od krowy smakuje znakomicie. Piję je dosłownie litrami. Później daje znać o sobie. Mieszkanie jest, niestety, nieskanalizowane. Noce jednak ciepłe. I po co tu jechać do Bulgarii czy Grecji? Cudze chwalecie, swego nie znacie — chciałoby się powiedzieć... Najpierw swoje poznajcie!

10 VIII. Wypad do Pobierowa. Około trzydziestu kilometrów, ale cztery kilometry to kocie lby. Wrócę inną drogą — nieco dalszą, ale lepszą.

W Pobierowie masa wezasowieców z dziećmi. Kiedyś, jak pamiętam, organizowano tu wezasy rodzinne. Tradycja chyba pozostała. Kioski z pamiątkami obiegane przez tłumy. Kto tę tandetę pozwala produkować? Straszna różna upiórki z plastyku. Co bardziej obrotni zarabiają nawet na papierze. Breleczki z małym zdjęciem Jana Pawła II to już lekka przesada! A te napisy „nowość” na pistoletach wystrzeliwujących wodę, znanych jeszcze z czasów mego dzieciństwa, mogą spowodować tylko wzruszenie ramion. Kto na tym zarabia i ile — to problem sam w sobie.

W Pobierowie okazuje się, że świat jest jednak szalenie mały. Na ulicy spotykamy znajomych Niemców z NRD — parę małżeńską Voglów z Naumburga, u których gościliśmy już kilkakrotnie, oni również bawili w Lublinie. Mieszkają na campingu. Zapraszamy ich do Niedźwiedzisk.

11 VIII. Z Niemcami jedziemy do Międzyzdrojów. Jest tutaj na wezasy rodzinnych Janusz Gaudyn, współpracownik „Kamenu” (aforyzmy na ostatniej stronie), który stale mieszka na Zaolziu. Pisał, że zatrzymuje się w „Sorrento”. Niestety, administracja zamknięta, a okazuje się, że domów wezasowych o tej nazwie jest kilka. Trudno chodzić od budynku do budynku, od pokoju do pokoju.

Spacerujemy więc po mołu, później zaglądamy do sklepów. Bez kolejki kupuję kiełbasę — jedną po 100 zł za kilogram, drugą po 160 zł. Nie jest tak źle z zaopatrzeniem na Wybrzeżu. Ale w czasie obiadu w „Syrenie”, lokalu drugiej kategorii, kelnerka naciąga mnie na dwadzieścia kilka złotych. Zorientuję się potem. Amatorka lekkich zarobków.

13 VIII. Blogie lenistwo. Nareszcie można sięgnąć do zaległej lektury. Leżę w ogrodzie i prażę się w słońcu. Czytam „Piotra i Wielkiego” Władysława A. Serczyka. Tę interesującą publikację wydało Ossolineum w 1977 roku. Trudno się oderwać od lektury. Co za bogactwo materiałów! Umysł stawiam sobie, że kilka razy byłem już w ZSRR, ale ani razu w Leningradzie. Będę musiał kiedyś nadrobić te zaległości!

Druga książka, którą biorę do ręki, to Konrada Olchowicza „Cwierć wieku z »Kurierem Warszawskim«”. Barwny opis kolegów — współredaktorów. Bywało, że niedzielne wydanie dziennika

miewało i osiemdziesiąt kilka stron druku! To była robota! Nie odważa, że redaktora naczelnego można było spotkać w pracy i o północy! A swą drogą zazdrościł mi.

15 VIII. Podobny wypad do Międzyzdrojów. Janusz Gaudyn odezwał się, podał dokładny adres. Czyhain na niego przy plaży. Diana bawi się z przepięknym pudlem. Właściciel jest dość rozmowny. Zaczyna się od psów, później przechodzimy na choroby serca, a jeszcze później słyszę pytanie: „Czy pan nie jest przypadkiem Markiem Jaworskim z Kamenu”? Okazuje się, że znamy się jeszcze z mego pobytu w Szczecinie. Lata lecą, ludzie też się nieco zmieniają pod względem wyglądu.

Ale oto idzie Karin, żona Janusza. Pięknie opalona. Urlop nad polskim morzem mają rzeczywiście nadzwyczaj udany. Janusz został jeszcze na plaży, nie chce stracić ani minuty. Po piętnastu minutach i on się zjawia. Ma kamerę filmową, koniecznie musi nas utrwalić. Pora obiadu. On do „Sorrento”, ja z żoną do „Syreny”. Godzina 13.15, ale kuchnia jeszcze nie podaje obiadów. Wreszcie zjawia się kelnerka, ta sama, co wtedy. Zamawiam dania, ale skrzętnie notuję ich ceny. Kiedy później proszę o rachunek, liczy coś na boku i mówi: „Sto dwadzieścia osiem złotych”. „Nie, proszę pani — poprawiam ją — sto dwanaście.” Znowu liczy i potakuje: „Ma pan rację”. Przypominam jej, że już raz mnie oszukała. Wcale nie ma zdziwionej miny. „Syrena” podlega „Spolem” w Świnoujściu. Gdyby dyrekcja chciała się sprawą bliżej zainteresować, komunikuje, że siedziałem przy dużym stole w drugiej sali. A tak na marginesie — menu w „Syrenie” wcale nie należy do zbyt pomysłowych!

Janusz Gaudyn opowiada potem, że był w „Bursztynowej”. Zapłacił za dwie osoby 300 złotych (po 50 złotych wstęp, po 100 złotych — konsumpcyjnie). „Wykidajło” szepnął do niego: „Jak chce pan dobry stolik, niech pan dorzuci stówę”. Dorzucił. Otrzymał rzeczywiście lepszy stolik, ale później okazało się, że dwie trzecie sali straszły pustką.

Co się dzieje z ludźmi na Wybrzeżu? A my czasami narzekamy na kelnerów bułgarskich i na podstawie ich zachowania oceniamy wszystkich Bułgarów. Nie chciałbym, aby cudzoziemcy oceniali Polaków w podobny sposób. Ale to chyba tylko moje pobożne życzenie.

Jemy z Januszem lody w „Kryształowej”. Jest to kawiarnia na ajencji. Trzy porcje lodów, pięć butelek pepsu — ponad 150 złotych. Umieją tu sobie liczyć! W gablocie — różne galaretki, bite śmietany etc. Ceny solidne, przeważnie powyżej 30 złotych za jedną porcję. A tymczasem w Gryficach jest podobny, choć mniejszy barek, prowadzony przez „Spolem”. Tam ceny są o ponad (!) połowę niższe. Ale te ceny w „Kryształowej” ktoś przecież zatwierdził! Czy na Wybrzeżu musi być aż tak wielki drenaż?

Janusz ma pewne sugestie dotyczące jego dalszej współpracy z „Kamem”. Proponuje, by przysłał teksty. Poczytamy, zobaczymy...

17 VIII. Znow morze. Tym razem Trzęsacz. Mury kościółka, zagarniętego przez morze, jeszcze stoją, ale coraz ich mniej. Schodków na plażę nie ma, widocznie pochłonęły je fale. Nikt się nie postarał, aby stanęły nowe. Trzeba iść kilkadziesiąt metrów w bok i schodzić na dół z przycogami. Ludzi na plaży znacznie mniej niż w Międzyzdrojach. Tutaj spokojniej.

Jakiś młodzien reklamuje swoje rzeźby w drzewie. Ciekawsze od potworków, strasznych w kioskach z pamiątkami.

21 VIII. Nareszcie pochmurno! Wczoraj słyszałem przez radio, (od TV tu odpoczywam) że w Warszawie leje, a tutaj żar lał się z nieba. Dzisiaj i u nas trochę pada i temperatura nieco się ochłodziła.

Po dzieci z Niedźwiedzisk podjeżdża PKS z przyczepą — zabiera je do szkoły w Gryficach. Tak samo jest w sąsiednich Rybokartach. Szkoły zbiorcze, choć początkowo mówiono o nich niezbyt chętnie, najwidoczniej się przyjęły.

Z Gryfic przywożę świeże leszcze i mrożone pstragi. Szykuje się niezła uczta.

Jeszcze kilka dni i wracam do Lublina. Ciekawi mnie ten numer „Kamenu” w którym znajdzie się ten tekst. Poza tym notatnikiem i kalejdoskopem nie przyłożyłem do niego ręki.

KOLARSTWO i piłka nożna, zapasy, lekkoatletyka i pięciobój nowoczesny. W różnych dyscyplinach sportowych odbywają się obecnie mistrzostwa świata i Europy lub eliminacje do mistrzowskich turniejów. Z różnych stron przychodzą wieści o sukcesach i porażkach.

Srebrny medal Pečiaka w pięcioboju i porażka drużyny po dużych stratach w jeździe konnej — cieszą i jednocześnie smucą, bo mamy bardzo dobrego Pečiaka i niezbyt pewne zaplecze.

Jeden złoty i dwa brązowe medale na mistrzostwach Europy juniorów w lekkoatletyce są tylko znikomą częścią tego, co nasi reprezentanci zdobywali w tej imprezie, której współinicjatorami byli polscy działacze lekkoatletyczni. Rok przed igrzyskami olimpijskimi nie bardzo jeszcze widać nowych polskich olimpijczyków. Jeszcze bardziej niepokojące są wyniki mistrzostw Polski, których jedyną otkrasą było współzawodnictwo Klesanówny i Krawczukówny w skoku wzwyż, uwieńczone nowym rekordem krajowym. Ale bieg na 1500 m, którego uczestnicy osiągnęli czas taki, jaki przed blisko pięćdziesięciu laty osiągał niezapomniany Kusociński, a na 100 m pań w którym ten dystans na tartanie zawodniczka przebiegła w ponad 12 sek., co nie pozwoliłoby jej wygrać w 1932 roku z Walasiewiczówną, muszą skłaniać do zadumy. Czy nie ma zawodników, czy nie są z nimi pracując, czy jakieś inne przyczyny powodują, że mamy jednego zawodnika czy zawodniczkę nie pierwszej młodości, jak Szewińska czy Komar, albo nawet nikogo jak na średnich dystansach? Czasu do igrzysk olimpijskich pozostało niewiele. Podziwiamy się tylko, że nasi szkoleniowcy celują ze szczytem formy na przyszły rok. Pytanie tylko, kto ten szczyt formy ma osiągnąć? Może jednak młodzież.

Młodzież może wiele zrobić. Potrzeba tylko w nią wierzyć i stworzyć jej szansę. Pokazali to kolarze szosowi. Srebrny medal w wyścigu drużynowym na mistrzostwach świata zdobyła drużyna, z której bliżej znani szerokiej publiczności byli tylko dwaj zawodnicy, a dwaj pozostali Ciekanski i Plutecki weszli pierwszym wielkim startem do kroniki polskiego i światowego kolarstwa. Drużyna ta za rok może nam przysporzyć wiele radości. Słowa uznania należą się naszym selekcyjonom za odważny i trafny wybór drużyny młodej, mimo że na miejscu mieli znanych i rutynowanych kolarzy, czekających na start w wyścigu indywidualnym.

„Kamena” będzie już w kioskach, gdy zakończą się mistrzostwa świata w zapasach. Pierwsze wieści z Sar Diego w USA przychodzą dobre. W tej dyscyplinie mamy niezłe tradycje i szeroką kadrę. Czekać na wyniki z optymizmem.

Optymizmem też napawają próbne galopy piłkarzy. Zwycęstwo 5-0 kadry olimpijskiej z drużyną Tomaszewskiego Berschot i 2:1 z kadrą olimpijską Jugosławii. Przygotowujemy się intensywnie do spotkań eliminacyjnych z Czechosłowacją i Węgrami. Reprezentacje tych krajów też nie opierają się zawodnikom, którzy uczestniczyli w rozgrywkach o mistrzostwo świata. Spotkania te więc są wielką niewiadomą. Rozstrzygną one, kto będzie reprezentował środkowo-wschodnią Europę na stadionach Moskwy. Martwi jednak w piłce nożnej słaba skuteczność strzelecka piłkarzy. Dwie, trzy sytuacje sam na sam z bramkarzem jugosłowiańskim nie przyniosły zmiany wyniku, piłka przechodziła wysoko nad poprzeczką. Potwierdza to zamieszczona w „Trybunie Ludu” tabela przeciętnej liczby bramek na meczach ligowych. Otóż nasi piłkarze w tym roku strzelają średnio 2,18 bramki na jeden mecz, co daje im aż 23 miejsce w Europie. Mniej strzelają tylko piłkarze turecy i włoscy.

U nas prowadzący w tabeli strzelców ligowych i zdobywca czterech goli w meczu z Berschotem — Chojnacki jeszcze wiosny nie czyni. Trzeba więc celności strzałów poświęcić maksimum uwagi w przygotowaniach do meczów eliminacyjnych do olimpiady i mistrzostw Europy.

BIAŁEJ Podlaskiej pisałem przeszło trzy lata temu, niebawem po starcie miasta w przyszłość wojewódzką, relacjonując wrażenia raczej mieszane. Trzy lata jest to i dużo, i mało w życiu miasta, na tyle jednak, że nie zawadzi do pewnych spraw dzisiaj wrócić oraz odnotować nowe obserwacje.

Z drobiazgów — „Bar Gastronomiczny” w Rynku, jedyny gdzie już o 7.00 można zjeść śniadanie, odróżający wówczas przybytek, obecnie chędogi i przyjemny, aczkolwiek serwuje głównie potrawy z mrożonek, których nie poleca nawet personel zakładu, jeśli się grzecznie spyta.

W ogóle gastronomia nie była i nie jest najsilniejszą bronią Białej, również gdy idzie o reprezentacyjną „Stylową”, gdzie między innymi proponują jako drugie danie: galaretkę z zimnych nóg, kartofle ze słoniną oraz sałatkę z pomidorów (zimne nogi funkcjonują tu na zasadzie mięsa). Do dziwołagów zaś nazewnictwa wprowadzono termin:

dziesięciu procent potrzeb natury — żeby tak powiedzieć — infrastrukturalnej została za jego kadencji zaspokojona. Całość to robota na piętnaście lat, ale ktoś ją musiał zacząć, narażając się nawet na pewną niepopularność, a przed następnym prezydentem nie widać innej przyszłości jak następne wykopki i w dodatku jeszcze większe.

Wszystko to dotyczy w głównej mierze starego centrum, gdyż nowe dzielnice w lepszej sytuacji. O owym centrum starym (sam pamiętam) mówiono się z początku, że tylko jego układ urbanistyczny jest zabytkowy, zaś substancja budowlana zasadniczo niezabytkowa. Upłynął jeden, drugi roczek, zmienili się odpowiedni ministrowie i okazało się, że niemal wszystkie starówki polskie w całości zabytkowe, więc pod ochroną konserwatorską i z przeznaczeniem pod rewaloryzację.

I teraz weźmy choćby taką „kamienicę” przy ulicy Prostej 20 w Białej. Budynek bez fundamentu wprawdzie, ale ruszyć go nie wolno, albowiem zabytkowy ponoć. Trzeba

Od kwestii „zabytkowego” Rynku w Białej odszedłem trochę w stronę zabytków prawdziwych, pora więc powiedzieć, że przeciąganie się dokumentacji na rewaloryzację białskiej Starówki opóźnia myślenie o prawdziwym, nie drobno sklepikarskim, centrum handlowo-usługowym miasta — gdzie je lokalizować i w jakim kształcie? Póki co otwarto duży, nowy „sam” nie opodal i uzyskano zgodę na wzniesienie w pobliżu Rynku pawilonu handlowo-usługowego (prace mają się zacząć pod koniec roku), a zaraz po moim wyjeździe otwierano w sierpniu, nieco dalej, dom „Centrum” z KMPiK na piętrze.

I tak w Białej w kontekście szerszych przypadłości, powolutku bo powolutku, to i owo posuwa się jednak do przodu. Nawet w dziedzinie hotelowej, ale o tym cała opowieść. Trzy lata temu miasto posiadało hotel miejski, dwa razy w książce telefonicznej wymieniony, aczkolwiek drewniak tragiczny, i posiada go nadal. Teraz będąc, nocowałem w domu akademickim filii warszaw-

weny”, obrośnięty rusztowaniami. Dziś widzę dom gotowy, nazwany skromnie domem socjalnym „Białewy”. Mówią mi, żebym za wiele o tych marmurach, holach, stołówkach, kawiarniach, klubach domu socjalnego nie pisał, bo mogę wypłoszyć następne projekty rozbudowy, już rusztowaniami ogaconą realność...

Na razie w sumie efekt jest ten, że gdy człowiek od fabrycznej czy urzędniczej maszyny wejdzie do swego domu socjalnego, to się przez samo wnętrze architektoniczne podnosi na duchu kulturalnym, gotów o krawacie oraz czyszczeniu obuwia pomyśleć, kąpiel czy też polerowaniu zębów zamarzyć, nie mówiąc już o pozytywnej gimnastyce porannej...

Do tych paru optymistycznych trzykropków muszę jednak dodać trochę dziegciu. Bo jeśli człowiek mieszka dosyć daleko od domu socjalnego, to musi skorzystać z komunikacji miejskiej, a w ogóle też musi czasem, i tu wyrasta coś bardzo dziwnego i złożonego, co rozpo-

Wrócić do Białej

Maciej Podgóski

„omlet naturalny” (nienaturalny omlet byłby z czego?).

Kto chce dobrze zjeść, powinien jechać w teren, ale może nie do Zalesia, sławnego pięknym drewnianym zajazdem, który truje klientów stęchłym bigosem, lecz dalej, drogą E-8 do Terespolu. Tu właśnie w dzień biały i powszedni obejrzały oczy moje prawdziwą szynkę oraz polędwicę w barze pawilonu gastronomicznego „Kos”, zaś w restauracji tegoż pawilonu (obok kotletów z jaj czy kotletów z fasoli wprawdzie): zraz po głogowsku, pieczeń z łopatką, pieczeń z karkówki, kotlet pożarski oraz sześć wcieleni kureczaka. Ceny drugich dań od 9 do 24 złotych.

I na tym gastronomicznym akcentcie poprzestając, można wrócić do Białej Podlaskiej. Zresztą wjazd do centrum z jakiegokolwiek strony wcale niełatwy, i pewien świeży kierowca powiedział mi, że lepiej mu się jeździł po Warszawie niż po Białej, której liczne uliczki są rozkopane do czystego piasku podlaskiego, ruch puszczony przedziwnymi niekiedy zakrętami. I tak to podobno trwa już dosyć długo, czego trzy lata temu jeszcze nie widziałem.

Jest taka sprawa, że gdy się w jakimś mieście mówi o rozkopanych ulicach i nie wywiezionych śmieciach, to zaraz się wskazuje poręcznego klienta do bicia — prezydent zawinił (władza raczej umiarkowana, pieniądze też, natomiast cel obstrzala wielki jak fortepian).

Prezydent Włodzimierz Remlein, który niebawem odchodzi na stanowisko powstającego w Białej zakładu „Polamu”, spokojnie i cierpliwie mnie przekonuje, że musiał rozkopać miasto, które w swej części centralnej (podobno zabytkowej) startowało w wojewódzką przyszłość bez tak zwanej infrastruktury zupełnie.

Infrastruktura to jest siedem kanonicznych elementów: kanalizacja sanitarna, kanalizacja burzowa, wodociąg, skablowane pod ziemią instalacje elektryczna i telefoniczna, sieć gazowa i ciepłownicza. Żeby to wszystko wrzucić pod ziemię, trzeba kopać, kopać i jeszcze raz kopać. Przy czym technologia nakazuje w pierw położyc kanalizację sanitarną, która biegnie najniżej, następnie czekać, aż się w sposób naturalny ułoży rozkopany teren i dopiero potem kłaść inne sieci, przy tym instalacja wodna nie może być za blisko elektrycznej itp.

Gdy się zrobi za szybko i niedokładnie, to po większym deszczu woda na przykład sływa przewodami telefonicznymi, telefony milkną itp. Prezydent Remlein uważa, iż około

remontować kosztem 3 milionów złotych (za co można zbudować blok z dwudziestoma mieszkaniami), a remontować znaczy w tym przypadku rozbierać całkowicie, kłaść fundamenty i budować od nowa, na co jednak przepisy nie pozwalają, gdyż pozwalają jedynie na remont kapitalny bez „rozbierania”. I chciałbym zobaczyć budowniczych, którzy będą trzymać w powietrzu zabytek, sypać fundamenty i potem zabytek na nich instalować. Jakis drobny cyrk.

Uważam, iż Biała Podlaska jako województwo ma w dziedzinie zabytków większe zmartwienia niż kilkanaście ruder przy placu Wolności i w jego okolicy. Ze stu jeden przykładów, które poznałem, wymieniłem piękną gotycką kapliczkę w Neplach, znajdującą się na terenie ośrodka wypoczynkowego WZGS, niszczonej i sąsiadującej z wysypiskiem śmieci. A przecież na użytkownika terenu spoczywają pewne obowiązki podobno?

31 lipca ubiegłego roku zostało zawarte porozumienie między prokuratorem wojewódzkim a dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej; w dokumencie czytamy m. in.: „Nakazem chwili jest jak najszybsze udostępnienie dóbr kultury i sztuki społeczeństwu. Równocześnie istnieje bezwzględna konieczność zachowania naszego ponad 1000-letniego, bogatego i niepowtarzalnego w swej treści i formie, dorobku dla przyszłych pokoleń” (żeby one się z nas nie śmiały i nami nie pogardzały — dopisek MP).

Obie wysokie umawiające się strony podejmują rozmaite zobowiązania, ale w gruncie rzeczy chodzi o jedno — włączenie się prokuratury do pierwszorzędnej wagi interesu ochrony zabytków. Gdy pod zaleceniami pokontrolnymi, mówiącymi o konieczności remontu dachu w przeciekającym zabytku, widnieje obok podpisu urzędnika Wydziału Kultury również parafka prokuratora, wówczas inaczej rozmawiają ludzie zobowiązani do remontowania owego dachu.

Porozumienia porozumieniami, znam niejedno papierowe, ale wydaje się, iż to akurat funkcjonuje praktycznie. Trzeba było prokuratorskiej docieklowości i wiedzy osób administrujących kulturą, żeby odnaleźć wykonaną przed dziesięć laty dokumentację na remont pozostałości pałacu biskupiego w Janowie Podlaskim. Za tym poszedł nadział robót dla lubelskich PKZ o wartości trzech milionów złotych rocznie, i prace ruszyły. Na podobnej zasadzie rozegrała się sprawa pałacu w Horodyszczy.

skiej AWF, skąd po jednej dobie uciekłem do internatu szkolnego.

Strasznie mi przykro, lecz kulturę życia społeczności oceniam w pierwszym rzucie po wyglądzie toalet. Gdyby sądzić o kulturze życia społeczności (aspoleczności?) białskiej filii AWF po stanie tego chlewiku, jakim jest toaleta na parterze domu akademickiego, trzeba by ludzkość rozgrzeszyć z najpodlejszych instynktów przyziemnych. A zainstalowani tutaj w okresie wakacji goście międzynarodowego hotelu studenckiego patrzą!

I otóż w tej sprawie toaletowo-hotelowej pokazuje się pawilon całkiem znośny, choć parterowy, hotelu PTK na około sto osób, już istniejący, a otwierany — jak mnie zapewniono — na dniach. Natomiast gdyby komuś nie odpowiadał taki wieżowiec położony na ziemi, to może się pocieszyć bliską podobno perspektywą przedolimpijską zajazdu na przedmieściu Białej — w Białce — a przede wszystkim piętrowego motelu (bliżej centrum), którego budowa ma być kupiona za ileś tam tysięcy ton ziemniaków zrodzonych na podlaskiej ziemi, rolniczej głównie, acz przecie turystycznej z powołania.

Bo województwo białkopodlaskie powinno stać turystyką, a miasto wojewódzkie pod tym kątem planować swe sprawy. Jest to teza tak brutalna, że aż pozwolę sobie jej nie uzasadniać, albowiem gdybym zaczął o tym mówić, to bardzo długo bym nie skończył, zaś perspektywy otwierał na wschody i zachody kolejnych pięćdziesiąt lat. Ponadto wiem, że nikt mnie nie usłucha, choć potem będzie żałował.

Tymczasem miasto cieszy się głównie, choć to też wymaga myślenia z oddechem perspektywicznym, przednowkiem przemysłu, mimo że do przesadnego rozwoju w tym względzie nie jest chyba przewidziane. Tak czy owak zakład „Polamu” już prawie wchodzi z budową, na razie władze miasta wydzierżawiły kilka obiektów, żeby kompletować i szkolić załogę, która od nowego roku 1979 produkuje drut miedziany i folię molibdenową, z pomysłem, że kiedyś, już w nowej fabryce, przekształci się to w produkcję listew przypodłogowych i szynoprzewodów do nowych mieszkań (w kwestii instalacji elektrycznej), nowość raczej w skali światowej.

No i oczywiście — pleno titulo — Zakład Przemysłu Wełnianego „Białewna”, już pierwszorzędnie wrosnięty w krajobraz Białej Podlaskiej, można powiedzieć „stary”, choć ciągle rodzący dzieci, miastu i sobie potrzebne. Trzy lata temu widziałem, jak pewien obiekt podniósł się z ziemi, naprzeciw „Bia-

czyna się od dwu złotych za przejazd autobusem w obręb miasta (bez przekroczenia tak zwanej strefy), zamiast — jak w całym kraju — złotych i pięćdziesięciu groszy.

Początkowo całą komunikację miejską obsługiwała, po dwa złote za bilet, „niebieska” PKS — bo taka była umowa. Potem, w ubiegłym roku, dla wzmocnienia obiecano miastu dziesięć autobusów, mających utworzyć załogę samodzielnej, „czerwonej” komunikacji miejskiej, a dano pięć sztuk i tak one jeździły (dla ujednolicenia taryfy —/ po dwa złote za bilet, narzucone przez PKS partnerowi słabszemu). Z kolejnych dziesięciu obiecanych na ten rok autobusów dla komunikacji miejskiej zrobiło się ostatecznie... nic, czyli została ta piątka „czerwonych”, obsługująca dwie linie oraz po staremu „niebieski” tabor PKS, obsługujący siedem linii miejskich.

Jest to układ nadzwyczajny, z którego dużo wynika — że w komunikacji miejskiej obowiązują dwa rodzaje biletów i biada temu, kto z biletem PKS wsiądzie do autobusu „czerwonego” (oraz odwrotnie — zawsze mandat!). A ponadto, niezależnie od specyfikacji, autobusy teoretycznie kursują co pół godziny i nigdy nie ma pewności, czy będą punktualnie, bo jeśli nastąpi awaria jakiegoś wozu, to mogą kursować co godzinę lub w ogóle nie.

Mam prywatny, bardzo skuteczny pomysł, ekonomicznie do przyjęcia, jak ujednolicić bilety komunikacji miejskiej w Białej bez kłopotów dla obu stron: PKS i miasta. Zgłoszenia proszę kierować do mojej firmy, pomysł udostępnię bezpłatnie, od oszczędności nie pobiorę żadnych procentów.

Niezależnie od tego, jak ludzie w Białej jeżdżą i w co wierzą, są to ci sami ludzie, o których pisałem trzy lata temu, niewiele tylko zmienieni. Nie nazbyt znużeni nadmiarem dostatku, choć już niektórzy „maluchami” bogatsi. Nie nazbyt zarażeni oschłością i cwaniactwem wielkoprzemysłowej cywilizacji, choć już niektórzy zbierają „starocie” i sklep „Desy” kwitnie. Ciępli, proszący przybysza do mieszkań na poczęstunek z kiebasą, i wiem, że gdy biesiadując z nimi w nowym mieszkaniu wielorodzinnego bloku, wystawie buty na klatkę schodową, jak robią wszyscy, to nikt mi obuwia tego nie ukradnie, albowiem tutaj sami swoi.

NAJWIĘKSZE szanse mają małżeństwa; dwoje ludzi, związanych ślubną pieczęcią, to układ na tyle stabilny, by opłacało się weń inwestować. Na wschodnim krańcu Polski, w mieście, w którym nie ma kłopotów z akademikami dla studenckich małżeństw, bo nie ma ośrodka naukowego, otworzyły się nagle bramy rajy dla ludzi posiadających oprócz magisterskich dyplomów także notarialne akty ślubu. Współczesna brama rajy to zwykle drzwi do normalnego M-4. W tym mieście powstała dziwna sytuacja, że do mieszkań zaprasza się młode małżeństwa, a nie one napraszają się o lokatorski kąt. W każdym razie taka jest wieść oficjalna, płynąca z Chełma do ośrodków akademickich w kraju.

Pomiędzy reklamą a rzeczywistością jest zawsze szeroki pas możliwości. Cztery lata temu tworzył on swoistą granicę, chroniącą obszar województwa przed wpływami z zewnątrz, ale to było przed rozpoczęciem akcji „Chełm — 80”. Wówczas widziano szanse w tysiącach młodych ludzi, którzy swą pracą wspierać mieli budzące się ambicje najmniejszego w kraju województwa. Ambicje nie były zbyt wygórowane, narzucone przez potrzeby zawierające się w kilku oczywistych zamierzeniach: unowocześnienie rolnictwa, nowe drogi i budowa mieszkań. Ta wyliczanka nie musiała być obrazowana porównawczymi wskaźnikami. Wystarczyło się po Chełmskiem rozejrzeć, by wypowiedzieć w zdegustowaniu straszne słowo: prowincja. A gdy już komuś zapachnie prowincja, to nie mogą najcieplejsze słowa zachęty — ucieka, byle dalej. I dlatego co roku blisko dwa tysiące młodych ludzi z województwa wyjeżdżało. Ale natura nie lubi próżni. Toteż pomyślano akcję „Chełm — 80” po to, by przez pięć lat spowodować możliwie największy awans nowo powstałego województwa.

Nie to było zamierzeniem akcji, by studenci przyjeżdżali i wyjeżdżali, lecz by zostawili wkład w rozwój województwa zechcieli go później pomnażać jak absolwenci wyższych uczelni. Chełmskie nie miało kadr ludzi z

Chełm - 80

Komu się wcześniej opłaci?

Bronisław Kowalski

wyższym wykształceniem. I nie miałyby ich nigdy, gdyby oferowało tylko piękne krajobrazy i świeże powietrze. Należało dać możliwości startu, awansu, ciekawej pracy i zarobków, mieszkania nie sublokatorskie i najważniejsze — perspektywę rozwoju. W przedostatnim roku akcji województwo może wreszcie coś zaoferować od siebie — 170 mieszkań.

Zanim jednak pojawiła się tegoż roczna szansa na rzeczywiste przybycie do województwa nie przypadkowej liczby kilkunastu magistrów, ale ich dużego zastępu, pierwsi zrobili pionierskie kroki. Nie jest ich wielu ale już stworzyli legendę. Najbarwniejsza z nich otacza postać dyrektora Zbigniewa Frydla. Powiada się o nim, że wojuje. Młodzi, którzy relacjonują jego polityczki, fascynują się faktem, że potrafił przewyciężyć barierę układów mówieniem prawdy o balaganie, który trzeba zmienić, aby wiejskie budownictwo widoczne było w rzeczywistych inwestycjach a nie w papierowych sprawozdaniach. Bardzo wielkie zdziwienie zapanowało tu i ówdzie, gdy okazało się, że ten dopiero co upieczony absolwent Politechniki Warszawskiej znalazł uznanie w oczach najwyższych władz. Nie dziwili się tylko jego rówieśnicy. Ani temu, że poszedł w górę, ani że rąbie prawdę i krew się w nim burzy na złą robotę, ani temu, że popiera się go w KW. Według nich tak

powinno być. Spośród uczestników akcji „Chełm — 80” rekrutuje się też młody wiceprezydent miasta Lucjan Nienajadło, o którym się powiada, że nie wchodzi mu w krew sposób pracy polegający na odkładaniu papierków aż do nabrania przez nie mocy urzędowej.

Zostali i inni, a niektórzy z młodych ludzi, uczestniczący w akcji, również planują osiedlenie się w Chełmie. Krzysztof Sobczak, kierownik działu propagandy akcji, od czterech lat utrzymuje na powierzchni jednolitą „Studencka akcja Chełm — 80”. Drukuje się w niej artykuły nie tylko o letnich pracach studentów, ale i publicystykę o problemach województwa. Redaktorzy tego piśmka poszli na przykład w ostry bój z włodawskim PKS-em, nie oszczędzili samego Chełma wytykając mu marazm kulturalny, brak urody, niegospodarność itp. Ale jednolitówka nie jest wydawana po to, by w chełmskie mrowisko wytknąć studencki kij. Nie idzie o niezgodę, lecz o wzajemne otwieranie sobie oczu.

Po młodzieżowej akcji „Chełm-80” zapewne zostanie jej — już teraz to można napisać — dorobek. Ten najbardziej sprawdzalny — codzienna praca studentów nie tylko z Polski, bo we wrześniu rozpoczyna się „Inter Chełm — 80” — i ten wymierny w przyszłości, jaki przyniosą dzisiejsze badania studenckich kół naukowych z UMCS w Lublinie, krakowskiej AGH, politech-

niki: Łódzkiej, Śląskiej, Krakowskiej i Warszawskiej, uniwersytetów: Wrocławskiego i Warszawskiego oraz czterech Akademii Rolniczych. Skorzystają na tym nie tylko mieszkańcy gminy Urszulin, którzy otrzymają „Studium zagospodarowania przestrzennego” lub mieszkańcy Włodawy, którzy poznają niedługo plan „Rewaloryzacji czworoboku śródrynkowego” w miasteczku, ale też i wszyscy mieszkańcy województwa, gdyż najważniejsza praca to opracowanie „Czynników społeczno-gospodarczego rozwoju województwa chełmskiego”. Zaś 6 prac badawczych dotyczy samego Chełma, a kilka Kombinatu Cementowego. Prowadzi się ponadto badania naukowe nad zagospodarowaniem zespołu gmin w rejonie Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Większość prac ma konkretną wartość, wymierzalną w efektach nie tylko naukowych.

Lecz by te prace i inne zamierzenia, wyniki z akcji „Chełm — 80”, weszły na stałe w spis bogactw województwa, potrzeba ludzi, którzy je pomogą urzeczywistnić: właśnie kadry absolwentów wyższych uczelni. Od początku wyznaczono akcji cel, który polegał na kierowaniu przez uczelnie magistrów do Chełma. Ale dopiero w ubiegłym roku stało się oczywiste, że dla przybywających będą mieszkania. W Chełmie, Krasnymstawie i we Włodawie buduje się ich 170. Zgłoszeń napłynęło 400. Komisja kwalifikacyjna brała pod uwagę przede wszystkim przydatność absolwentów dla województwa. Przy okazji zajrzano i w inne rekomendacyjne walory. Np. czy są to ludzie z tzw. żyłką do społecznego działania, jakie mają stopnie na dyplomie, no i wreszcie — preferowano małżeństwa. Prawie dwustu specjalistów to nie tak znów wielu, aby szczęśliwie i bez kłopotów rozpocząć rozbudowę nowego województwa. Potrzeba ich znacznie więcej, z bardzo różnymi umiejętnościami. Muszą to być absolwenci kierunków humanistycznych i technicznych: lekarze, pedagodzy, inżynierowie, lecz nie tylko oni, bo rów-

Dokończenie na str. 7

Wrześniowy trud piechoty

Dokończenie ze str. 1

świetnie wyszkolonej, bitnej, wytrwałej. Uzbrojonej według naszych ówczesnych możliwości. Zdolnej powstrzymać piechotę wroga. Ba, nawet ją rozbić. Cóż, kiedy przyszło jej cofać się między pancernymi zagonami, pod niebem opanowanym przez nieprzyjacielskie lotnictwo.

Piechotę, jak i całe wojsko, zaczęto unowocześniać po roku 1935, na cztery lata przed wojną. W tym krótkim czasie zrobiono jednak bardzo wiele. Zmodernizowano umundurowanie, wprowadzono nowe oporządzenie. Dano piechurom świetne hełmy wzór 1931, te, co tak groźnie wyglądały na defiladach, co tośmy je we Wrześniu zbierali po większych rowach, potem oglądali na krzyżach.

Ujednolicono też uzbrojenie (przynajmniej w trzydziestu dywizjach czynnych — istniejących w czasie pokoju), które — jeżeli chodzi o broń osobistą i maszynową — w niczym nie ustępowało broni przeciwnika. Tak zresztą jak i granatniki czy moździerze. Dano też piechocie znakomitą broń przeciwpancerną: specjalne karabiny wz. 37 i armatki wz. 36 kalibru 37 mm (te same, w które uzbrojono kawalerię).

Od pistoletów oficerskich (sławne „Visy”), przez karabiny, erkaemy, cekaemy, po moździerze i broń przeciwpancerną, aż po legendarnego „Morsa” (pistolet maszynowy wyprodukowany w próbnym serii, przewidziany jako broń dowódców drużyn i plutonów) były to dzieła polskiego inżyniera i robotnika. Częstokroć produkowane na obcych licencjach, ale udoskonalane, na ogół wyprzedzające pierwowzory.

Pułk piechoty we Wrześniu składał się z 91 oficerów i 3212 szeregowych. Jego OdB (Ordre de Bataille) przedstawiało się następująco: dowództwo, pluton łączności (wyposażony w telefony i radiostację), pluton zwiadu konnego, pluton kolarzy, pluton pionierów, kompania przeciwpancerna (9 armat — w planie 12; w dywizjach rezerwowych 4), bateria artylerii piechoty (2 armaty 75 mm, które miały być w przyszłości zastąpione przez 4 moździerze 120 mm), kompania gospodarcza, tabory bojowy i trzy bataliony.

Batalion piechoty składał się z dowództwa, plutonu łączności (telefony i radiostacja), trzech kompanii strzeleckich i kompanii cekaemów (12+2 moździerze 81 mm). Kompania strzelecka dzieliła się na trzy plutony (po trzy drużyny) i była uzbro-

jona (poza bronią osobistą oficerów i strzelców) w 9 erkaemów, 3 granatniki 46 mm i 3 karabiny ppane.

Niestety, broń przeciwpancerną było zbyt mało, broń przeciwlotnicza na szczepku pułku nie istniała (stosowano przeciw samolotom cekaemy na specjalnych podstawach), a i w dywizji była niewielka (4 działka 40 mm — w dywizjach czynnych zmotoryzowane — w planie 6 działek i 8 erkaemów). Ponadto brakowało artylerii ciężkiej (słabe dywizyjny i to tylko w dywizjach czynnych) i pancernych środków rozpoznawczych (kompanie tankietek jedynie w osiemnastu dywizjach).

W dodatku nasza wrześniowa piechota była nadmiernie obciążona: strzelec wielokilogramowym ciężarem broni, amunicji i oporządzenia, a oddziały wlokącymi się ogonami konnych taborów, tamującymi ruch na drogach, utrudniającymi manewr. Planowano zmotoryzować połowę z osmiu kolumn taborów dywizyjnych, ale we Wrześniu planów tych nie zaczęto jeszcze realizować. Tabory stały się zmorem dowódców i sztabowców. Na domiar złego uzupełniano je chłopskimi wozami, które nie były pakowne ani wystarczająco mocne.

Wrześniowe drogi! Pamiętamy je dobrze. Tabory, wozy i samochody uchodźców, rowery, motocykle, tłumy pieszych. Brakowało miejsca dla wojska. A jeszcze niemieckie lotnictwo, co niemal bezkarnie buszowało po kraju.

Ciężko było wrześniowemu piechurowi. W przemożni i dosłownie. Bo policzmy: sukienne umundurowanie (choć „lato było piękne tego roku”), tornister ze zmianą bielizny i żelazną porcją, męzka, manierka, zrolowany płaszcz. No i chlebak, który — „jak sama nazwa wskazuje” — służył do noszenia granatów. I parcianna torba z maską przeciwgazową (na szczęście okazała się nieprzydatna). A jeszcze łopatką. No i wreszcie broń: karabin, bagnet, 96 naboł w ładownicach. Spróbujmy to wziąć na plecy, udźwignąć, przejść z tym obciążeniem po piachu, w skwar choć kilka kilometrów.

Ciężko, prawda? Weźmy poprawkę na wiek: piechur we Wrześniu był młody, nawet rezerwista. Mógł mieć 25, 30 lat. Ale za to musiał iść nie kilka kilometrów. A w dodatku ktoś przecież nosił erkaemy (i amunicję do nich), karabiny ppane. (bagnetka, dwa metry długości), granatniki. A i cekaemy trzeba było nieraz brać na plecy, albo zaprzęgać się do bledek.

A kuchnie polowe „diabli wiedzą gdzie”, a spać nie ma kiedy. Ba, nawet i o wodę trudno. Powie ktoś: wielka rzecz, woda! Jest w każdej studni. Mało to wsi po drogach? Niemato. I studni w nich nie braknie. Wehodzi batalion do wsi. Iu żołnierzy wypadnie na jedną studnię? Nie rachując koni. A w studniach wilgotne błoto. — Był tu inni! — tłumacza chłopi. — Artylejka, panie, niani, pill, poill konie... — Miał! — prosil żołnierz. — Nie ma, synku — mówią kobiety. — Dajcie choć jabłko, garść wianu! — Nie ma...

Obliż, żołnierzu, spieczoną wargi, otrzyj spocone czoło, popraw tornister, weź karabin. Może i erkaem od kolegi? I idź. Piąty dzień, może dwunasty? Słyszysz komendę? — Lotnik, kryj się! — Biegnij w las, do sadu, pod przydrożne drzewa. Przelecieli! Formuj znowu kolumnę Maszeruj. A potem walcz. Strzelaj. Idź na bagnety. Wołaj: hurra! Mocno naciskaj spust cekaemu. Nie trzymaj oczu czerwonych od kurzu, piekących od niespania.

I znowu maszeruj. Noc. Idziesz, zasypiając, śpisz w rytmie kroków. A tu szosa zajęta. Może działa? Może tabory? Ranni? Albo po prostu uchodźcy opętani strachem przed Niemcami. Więc schodzisz na bok. Idziesz w kurzu ściernisk. Potykasz się o korzenie na leśnej ścieżce. I marzysz: pić! Pić i spać. Niechby już i nie jeść, nie zdejmować ryszantunku. Byłoby pospać. Choć parę godzin. I napić się. Wody...

Pamiętamy ich, piechurów Września. Rozbitych pod Krasnobrodem, pod Tomaszowem, pod Zamościem... Szli po drogach Lubelszczyzny we wrześniowym jeszcze słońcu. Już bez broni, „bez orła na czapce”, bez pasów. Nieogoleni, w rozpiętych płaszczach, w niedbale nasuniętych na czoło polówkach czy furażerkach, podpierając się kijami, opatrując w przydrożnych rowach odparzone nogi.

Wypełniali też szpitale. Prawdziwe i te improwizowane, w szkołach, w urzędach. Długo jeszcze, późną jesienią, widywało się niemieckie samochody, z których wyładowywano postacie w rdzawych mundurach, omotane bandażami. Spotykało się na ulicach lekarzy w polskich mundurach. Potem gdzieś znikli. I ci z zakurzonych dróg, i ci ze szpitali. Niektórych spotykaliśmy na ementarzach, w rzędach grobów z brzołowymi krzyżami; gdzieś w lasach, w zabudkach, w zabudkach, w zabudkach, i te francuskie lekkie, zgrabne (choć mało przydatne w boju), jeśli poległy był kawalerzysta.

Innych widywaliśmy i w kilka lat po wojnie. W niedzielnym mieście, na wsi, w płaszczystym lesie pod szanami odkopano płytki row pełen ciał w płaszczach khaki, w kołuszach, w polówkach: tych żołnierzy, co to ich — nie bacząc na międzynarodowe prawa — rozstrzelano bezbronnych, już po bitwach.

Utrudził się we Wrześniu żołnierz piechoty. Rzeczelnie, po chłopsku. Zapracował krwawo na „chwale zwyciężonych”. Myślmy o nich czasem. O młodych piechurach polskiego Września. O tych, co spoczęli pod brzołowymi krzyżami, co krwawili w prowizorycznych szpitalach, co wracali bez broni z przegranych bitew, stukając wieczorami do polskich domów, prosząc o nocleg. Ale wyobrażamy ich sobie inaczej.

Niech w naszej pamięci odświeżnie huczy bębna. Niech powiewają sztandary z dumnym znakiem srebrnego ptaka. Niech maszerują defiladowym, dumnym krokiem chwackie szeregi w nowych mundurach, w błyszczących hełmach, najeżone bagnietami. Rzucamy im w myśl kwiaty. Kto umie, niech się pomodli. Nie wstydzmy się i by. Ale patrzmy na nich, na tę defiladę wspomnień z uśmiechem, choćby nas coś ścisnęło za gardło, z dumą. Bo przecież ich przegrana była też i zwycięstwem.

Bohdan Królikowski

Kamena str. 4

KAJ

MILCZĄCY, gdy rozmowa miała kaszę blachostek, nie wzbraniający się przed zabranieniem głosu w sprawach merytorycznych. Wybijający się z tła zebranych twarzą wyrazistą i nie budzącą wątpliwości co do stanowiska jej właściciela w omawianej aktualnie kwestii. Na ulicy nigdy nie przyspieszający kroku, z lekka pochylony, jakby unikał zdawkowych kontaktów z przypadkowymi pół-znajomymi. Kazimierz Andrzej Jaworski miał jeszcze jedną cechę wyróżniającą: często można go było spotkać w spodniach zapinanych pod kolanami. Takie spodnie to jedno ze znamion mody przed wojną, a lekki już anachronizm po niej.

Ale chyba ten szczegół w jakiś sposób koresponduje z charakterem KAJ-a, który dla mody, dla okresowych konwenansów intelektualnych nigdy nie miał uwagi. Uważał, że nie warto. Warto dla Siewierianina, Szczepanowa, Gonczarowa, dla młodzieży literackiej środowiska, któremu przewodził, dla własnej twórczości poetyckiej też utrzymanej w tonie rygorystycznie klasycystycznym, by nie korzystać z przypadkowych aplauzów nowalijkami zdezorientowanej publiczności. I ten rygoryzm zaznaczył się już wcześniej. Ze wspomnień lubelskich innych autorów wiemy, że wystąpił z grupy „Reflektor”, do której początkowo należał. Nie stało

się to w sposób drastyczny, towarzyskie kontakty zostały zachowane, ale sam powód nigdy nie był wymieniony wyraźnie. Z dużym prawdopodobieństwem domyślać się można, że była nim ta sama pryncypialność w sprawach twórczych, ta sama potrzeba wierności sobie i nie korzystania z koniunktury, która cechowała całe życie K. A. Jaworskiego. Nie znaczy, że koniunkturalistyczni byli „reflektorzyści”, ale jest wymownym rysem charakteru KAJ-a, że kiedy spostrzegł niebezpieczeństwo wyznawanych poetyk, wystąpił z grupy niezależnie od faktu, że w zespole łatwiej było o autorskie powodzenie.

Co jeszcze Jaworski miał w sobie? Mało się o tym mówiło, więc jest warto podkreślić: jakąś opiekuńczość w sprawach literackich. Jego w nich obecność budziła zaufanie. Był jak przeor klasztoru, dyrektor szpitala, przewodnik górski, profesor, który nie stawia dwójek. A słówko pokrzepiające młodym zawsze się znalazło. Ba, często KAJ udawał mniej wymagającego po to, by młody człowiek nie zwątpił we własne siły. A znajdzie mi dziś redaktora, który sam dopomina się o tekst u kogoś „bez nazwiska”.

Jest zwykle tak, że trzon literackiego środowiska tworzą ludzie złączeni jakąś wspólnotą organizacyjną. Można nawet nazwać ich lobby, czyli grupą nacisku. Jaworski do żadnej grupy nacisku nigdy

nie wchodził, a mimo to jego obecność zawsze się odczuwało. Nawet przyjazd do Lublina z Chelma do Lublina go nie zbliżył, ponieważ będąc w Chelmie był tak samo blisko. Owszem, działał tu autorzytet redaktora, ale również osobista cecha KAJ-a, który gdziekolwiek się znajdował, zawsze zajmował miejsce dla siebie charakterystyczne. Ten outsider był zawsze in medias res. Nie tylko twórczych: organizacyjnych również. Wchodził — i wchodziła z nim aktualność spraw literackich, wchodziła otucha, że coś się zmieni na lepsze. Czy znać takie zjawisko, że pojawienie się kogoś w towarzystwie ożywia je stwarzając obietnicę podniesienia waloru spotkania? Przenieśmy to z płaszczyzny towarzyskiej na literacką, a mamy rys znamieny dla tej magii oddziaływania kulturalnego, samą personalną obecnością.

Podniósł poezję w Lublinie. Nie tylko sam pisał, ale również tłumacząc z całego wachlarza języków słowiańskich, również inspirując zainteresowania poetyckie w szeregu środowisk młodzieżowych. Zmarł 6 września 1973 roku. Nad Jego trumną — takie wyraził życzenie — nie było przemówień. Byli ludzie, którym zostawił swoje wiersze i pamięć twórczo, pracowicie wykorzystanego życia. Więc nie umarł.

Jan Radomski

Czy Wisła mogła być linią obrony?

Dokończenie ze str. 1

Obrona całości zachodniej Polski była niemożliwa nie tylko z powodu braku sił i środków potrzebnych do obsadzenia tak długiej granicy. Skuteczną obronę wyklucza również zarys granicy polsko-niemieckiej. Jej kształt umożliwiał Niemcom zastosowanie dwustronnego okrążenia. Wisła okapem nad Polską Prusy Wschodnie, z których uderzenie zagrażało obronie Pomorza i stolicy kraju. Zajęcie przez III Rzeszę w marcu 1939 r. Czechosłowacji umożliwiło wyprowadzenie wojsk niemieckich na tyły wojsk polskich zgromadzonych na Śląsku.

Dlaczego więc dowództwo polskie przyjęło takie karkołomne początkowe rozwinięcie wojsk, mimo że na kilka lat przed wojną uznano je za bezsensowne? (Plk Leon Mitkiewicz w swojej książce „Kawaleria samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 r.” wspomina o konferencji inspektorów armii w 1936 r. poświęconej koncentracji wojska polskiego w wypadku wojny z Niemcami, na której Generalny Inspektor, Rydz-Smigły, oświadczył, że „... armie polskie nie mają być nadmiernie wysunięte ku granicy niemieckiej”).

Trzy przesłanki zadecydowały o tak nieracjonalnym ugrupowaniu wojsk polskich.

Po pierwsze — nie uwierzono, że wojna wybuchnie. Nieuzasadnione przekonanie ministra spraw zagranicznych, plk. Józefa Becka, o tym, że Hitler blefuje, udzieliło się pozostałym osobom z rządzącej w Polsce trójki. Kordonowe rozwinięcie sił było więc demonstracją obliczoną na zastopowanie ewentualnych lokalnych, „pokojowych”, aktów agresji niemieckiej według wzorów z 1938 r. Potwierdza to meldunek węgiersko-królewskiej misji wojskowej zwiędzającej front: „Koncentracja ta (tzn. liniarna — RN) obliczona była prawdopodobnie na zastraszenie w czasie napięcia politycznego, ale nie odzwierciedlała rzeczywistego planu...”

Po drugie — myślą przewodnią Naczelnego Wodza było: „...nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na zachodzie”. Sądźono, że przyszła wojna będzie prowadzona według schematów ostatnich wojen, a więc będzie wojną powolną, pozycyjną, w czasie której zaistnieją szanse na spokojne przegrupowanie sił na uzyska-

nie czasu kosztem przestrzeni, by w ten sposób doczekać się utworzenia frontu na zachodzie, co miało nastąpić w 17 dniu wojny. Marszałek Rydz-Smigły taktycznie możliwości marszu w przeciwnym kierunku mierzył możliwościami własnych wojsk.

Po trzecie — wysuwając wojska daleko na zachód osłaniano zgrupowane w zachodniej Polsce ośrodki zapasowe, materiałowe zapasy wojenne oraz potrzebny do prowadzenia długotrwałej wojny przemysł. Wszystko to było zgrupowane po zachodniej stronie Wisły, gdyż przez cały prawie okres międzywojenny czyniono przygotowania do wojny ze Związkiem Radzieckim. W wojnie z Niemcami polski potencjał wojenny narażony był na bezpośrednie uderzenie.

W uzupełnieniu tego zagadnienia wspomnieć należy, że na decyzję Rydza-Smigłego o obronie całości zachodniej Polski niewątpliwie wpływ miało znane „Studium Niemcy” gen. Tadeusza Kutrzeby z 1936 r. W tym memorandum postulował on konieczność zachowania w rękach polskich części obszaru zachodniej Polski, niezbędnego do prowadzenia wojny, który to obszar gen. Kutrzeba nazwał „tuliwem strategicznym”.

Wszystkie powyższe motywy, którymi kierował się Naczelny Wódz, nie uwzględniały tego, że nieprzyjacieli dysponował piętnastoma szybkimi dywizjami i bezwzględną przewagą w lotnictwie. Oceniając krytycznie polskie ugrupowanie wyjściowe, jeden z wybitnych sztabowców niemieckich (szef sztabu grupy armii „Południe”) gen. Erich v. Manstein trafnie zauważył, że Rydz-Smigły stał przed dylematem: czy tracić sam obszar (w wypadku zdecydowania się na obronę części terytorium — RN) czy tracić obszar wraz z wojskiem. Naczelny Wódz wybrał to drugie.

W strategicznie beznadziejnej sytuacji, w jakiej znajdowała się Polska w 1939 r., optymalnym rozwiązaniem, ograniczającym operacyjne szanse Niemców byłaby decyzja o obronie części terytorium państwowego. Taką koncepcję wysuwał francuski generał Weygand, proponując utworzenie głównej strefy obronnej od razu wzdłuż Narwi, Wisły i Dunajca lub Sanu. Niemiecki „operator”, plk Herman Schneider, sformułował na ten temat następującą uwagę: „Strategiczne położenie Polski było niekorzystne, a wykres granic umożliwiał okrążenie na północy i po-

łudniu (...). Siły polskie nie wystarczały do bezpośredniej obrony granic. Naczelne Dowództwo musiało zatem z konieczności znaleźć linię obronną odpowiadającą ciężwie wyżej wspomnianego luku. Plan francuskiego generała Weyganda, by stworzyć główną strefę obronną przy wykorzystaniu dawnych rosyjskich fortyfikacji nad Niemnem, Biebrzą, Narwią, Wisłą i Sanem odpowiadał na ogół temu wymaganiu”.

Taka koncepcja obrony skracająca linię frontu prawie o połowę, a tym samym umożliwiającą większe nasycenie wojskiem obszaru frontowego oraz dawała szansę na tworzenie zgrupowań odwodowych, których brakowało już w pierwszych dniach wojny. Ponadto w obliczu materiałowej i technicznej przewagi niemieckiej oparcie obrony na linii wielkich rzek jako na naturalnej barierze wodnej miało dodatkową zaletę. Wreszcie — przyjęcie powyższej koncepcji umożliwiałoby zniewolenie groźby uderzenia niemieckiego ze Słowacji na tyły polskiej obrony i stepienie uderzenia z Prus Wschodnich.

Koncepcja oparcia obrony na barierze rzek w warunkach wojny błyskawicznej dawała Polakom więcej szans, ale zawierała dwie słabe strony. Jedną z nich to transportowe trudności z przeprowadzeniem koncentracji wojsk w głąb kraju, druga miała charakter polityczno-moralny. Trudno było dowództwu polskiemu podjąć decyzję, by bez poważniejszej bitwy oddać tereny na zachód od Wisły, tereny, których część była przedmiotem niemieckich żądań. Obawiano się, że jeśli Polska odda bez walki obszary, do których aspirują Niemcy, to Anglia i Francja mogą nie przystąpić do wojny.

Mimo tych negatywnych stron, obrona na linii rzek była z wojskowego punktu widzenia rozwiązaniem najkorzystniejszym, najmniej ryzykownym. Oczywiście nie można było liczyć na to, że będzie to obrona nie do pokonania, lecz że w tych dogodnych jak na polskie możliwości warunkach będzie ona trwała przynajmniej kilka tygodni, a nie kilka dni.

I wbrew pozorom nie są to rozważania czysto teoretyczne w sensie „co by było gdyby”. W trakcie walk, gdy niemieckie wojska pancerne przełamywały kordonową polską obronę wychodząc na tyły naszych ugrupowań, marszałek Rydz-Smigły usiłował organizować koncepcję obrony na Narwi, Wisie

i Sanie. Lecz wówczas było już na to za późno. W okresie poprzedzającym wojnę nie zrobiono nic (oprócz wybudowania kilku mostów), by linia rzek stała się linią obronną. Użyte masowo w kampanii wrześniowej niemieckie lotnictwo uniemożliwiło uporządkowaną obronę i zorganizowaną koncentrację. Gdy zaistniała ostateczność nie było już sił zdolnych do obrony tej linii, ponieważ niemieckie wojska szybko odcięły armie polskie, walczące w łuku Wisły, od przepraw, bądź też dochodziły do tych przepraw równocześnie, nie pozwalając na należyte zorganizowanie wtórnej obrony.

Powołanie przez Naczelnego Wodza 4 września armii „Lublin” z zadaniem obrony środkowej Wisły stanowiło jedynie improwizację, która nie mogła zastąpić rzetelnego planu i rzetelnych decyzji operacyjnych.

„Gdyby polski plan operacyjny — pisał gen. Jerzy Kirchmayer — był zawczasu opracowany, a nie jak się to stało w rzeczywistości, w ostatniej chwili i na kolanie, musiałoby stać się jasne i to na długo przed wojną, że nasze położenie operacyjne nie może być rozwiązane przez zniszczenie północnego skrzydła niemieckiego (tzn. wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich — RN). Z tego wypływa kapitalny wniosek że obrona rdziennej Polski nie ma widoków powodzenia, że trzeba uchylić się od uderzenia grożącego w skrzydło i tyły przez cofnięcie obrony na wschód i że w związku z tym trzeba zmienić polityczne wartości, w jakich znalazła się Polska”.

W wypadku przyjęcia koncepcji obronnej na linii wielkich rzek tyły wojsk polskich znalazłyby się nad granicą polsko-radziecką, a więc konieczny byłby sojusz wojskowy z ZSRR, której to jedynie logicznej myśli, wynikającej z położenia operacyjnego naszego kraju, nie dopuszczano.

Kłeska walczącej samotnie w wrześniu 1939 r. armii polskiej była nieunikniona, ale nastąpiła zbyt szybko, zanim wykorzystano istniejące możliwości i szanse. W ukształtowanych warunkach odsunąć tej klęski nie mogła powszechnie znana bitność polskiego żołnierza.

Ryszard Nowosad

Kamena str. 5

KARTA POLSKIEJ LIRYKI

Stefan Ziolkowski

9 WRZESNIA minie 40 lat od śmierci Józefa Czechowicza. Nie zastępuję rocznicowego stereotypu o „bombą trafionym w stallach”. Powiem, że najchętniej podniosłbym z grobów Bielskiego i Gralowskiego, by we wspomnieniowym duecie przedstawili postać lubelskiego poety. Lubelskiego, który był także warszawskim i polskim. A dla mnie — również światowym. Z pewnością zabrzmiał jak herezja, ale mniej poezji znajduję w pismach Mallarmé'go, Baudelaire'a, Lautréamonta (że nie wspomnę o Saint-John Persie, Supervielle'u, Prévertcie). Dlaczego mniej? Dlatego, że tamte nie powstały w „muzycznym przysięgnięciu świadomości”, a sens tego świetnego określenia z autocharakterystyki Czechowicza uważam za zasadniczy formant poezji.

Minęło 40 lat od śmierci, więc jest obowiązek rocznicowego pochylenia głowy. Czy jednak przybliży to nam jego poezję? Podprowadzi do dzisiejszych pojmowań, doznań, stanów ducha? Zdecyduję się zgrzytem, ale stwierdzę, że nie przypuszczam, by tak się stało. Znadto zmienił się kulturowy charakter epoki, a z nadto typowym reprezentantem swojej był Czechowicz, by wywołanie jego imienia spowodowane było czymś więcej niż potrzebą formalną. Owszem, wymienia się go przy okazji różnych komparacji, ale sama nieustraszona porównań świadczy o nieobecności czechowiczowskiej tonacji w dzisiejszej akustyce poetyckiej.

I na dobrą sprawę — nie może być inaczej. Czy „poeta ogrodów” — Staff, „poeta łaki” — Leśmian, „poeta młodości” — Wierzyński mają miejsce w dzisiejszej galerii nazwisk? Dlaczego więc oczekiwać by miał je „poeta prowincji” Czechowicz? Przecież „prowincja” — szczególnie w tym znaczeniu, w jakim widział ją swoją wrażliwością — znikła. Znikł czechowiczowski pejzaż. Do głosu doszła poezja oparta na zasadzie innej: nie muzycznej, lecz architektonicznej. Postawa awangardowa. Wprawdzie Czechowicza zaliczono do awangardy, ale był to awangardzista tak szczególnego rodzaju, że z trudnością przychodzi podtrzymać zasadność tej klasyfikacji. Cóż to za wyznawca Peiperowskiego „Tedy”, który odwoływał się do „czułości mistycznych, magicznych i metafizycznych, a z usposobienia był katastrofistą. Awangardowy był jedynie (zresztą nie zawsze) w stosowaniu formalnych środków wyrazu, a to za mało na przypisanie do szkoły.

Do szkoły nigdy nie należał. Ba, jemu samemu szkoły nie udało się złożyć. Czy raczej: nie udało się młodym być jego uczniami. Byli jego protegowanymi artystycznie, wspieranymi materialnie, nawet niektóre z nim znajomości i koleżeństwa przerosły w kształt przyjaźni, ale następów poetyckich Czechowicz nie zostawił. Tu w najwrażliwszy sposób spełnia się komunał, że prawdziwa poezja jest

rzeczą indywidualności, że ani jej przejąć, ani przekazać nie można.

Rytm, rytm tego wiersza. Nie chodzi o monotonna ślepaninę tasakiem stóp metrycznych, o klepankę akcentów jak sztachety płotu podtrzymującą słabnący krok poetycki. Ileż sylabotoniów w ten sposób „uratowało” swą reputację. Rytm Czechowicza też nie jest zjawiskiem naciąganiem, jak to, które poeci bez słuchu przedstawiają jako „rytm wewnętrzny”. To puls wiersza tak konieczny dla życia poezji, jak dla organizmu bicie serca, które przecież też nie uderza z regularnością metronomu postawionego na pudle fortepianu.

Oczywiście, że należy mówić o rytmie. O kształcie formalnym wiersza tak sposobnym dla zawarcia wkładanych wń treści. Czy „jedynym”? Jedynym on okazuje się ex post, dla badaczy i komentatorów, sam poeta jest tylko wierny chwili, w której się impuls pojawił i w której ustąpił momentem lirycznym narzuconą tonację. Co nie znaczy, że skala wrażliwości nie umożliwiłaby innego rozwiązania formalnego, gdyby podjęte nie zostało ze skutkiem doprowadzone do końca. Wskazuje na to fakt istnienia pewnej ilości wierszy w dwu redakcyjnych — u Czechowicza również. Więc jeśli kształt formalny wiersza u tego poety niekoniecznie musi być jedyny, zawsze jest intuicyjnie niezwykle trafny. To należy podkreślić mówiąc o jego filozofii, postawie twórczej, pojmowaniu słowa. Rzadko gdzie indziej można spotkać taką troskę o odpowiedniość między treścią a formą. Przecież nawet tak pozornie epaterski zabieg jak skasowanie interpunkcji i dużych liter nie jest tu — jak się niestudnie mniema — naśladowaniem awangardy (Przybóś nigdy tego nie stosował, napisał nawet kiedyś krytyczny list o twarty do „poetów — bezprzystankowiczów”), lecz świadectwem zamiaru polegającego na nadaniu frazie — jak największej potoczności — muzycznej. (Należy dodać zalety w nielicznych, m. in. u Czechowicza ów brak interpunkcji nie zaciemnia czytelności tekstu. Czyli nie wystarczy skasować znaki graficzne, trzeba jeszcze na pasmo słów nałożyć właściwą akcentację intelektualną i emocjonalną).

Trzeba to podkreślić, ponieważ w piękno Czechowicz uciekał przed naporem tragizmu. To znaczy: nie ludził się, by „uroda życia” wyeliminowała w nim poczucie wewnętrznej rozdarcia, ale wyznawał — nazwijmy — „poetycką filozofię momentalną”, prawdę, że błysk olśnienia ma w sobie wieczność, odsuwa myśl o śmierci, o boleśnie splecionych determinantach ludzkiego losu. Poezja w ogóle niewiele ma wspólnego ze stanami psychodelicznymi, ale Czechowicz szczególnie kochał widzieć siebie, jako kogoś, kto obco czuje się wobec świata, „placząc ze słabości swojej”, „niepokój z ognia”, „smutna to powieść”, „co stworzę wes-

przyjęcie zmarli”. Cytatów nie potrzeba wybierać, nawet powoływać się na te „kanoniczne”, najczęściej używane w omówieniach, każde otwarcie jednego z 7 zbiorów dostarcza tyle cytatów, że niekiedy należałoby przytaczać całe wiersze.

Rozpacz istnienia. Tak immanentnie istotna tej osobowości, że spowodowana ani kolejami własnego losu (choć dzieciństwo Czechowicza upłynęło w suterenie), ani względem na losy innych (choć poczucie krzywdy społecznej niejednemu wierszowi nadaje twarz). W samej zasadzie bytu Czechowicz widzi obecność sił wrogich człowiekowi. Niepoznawalność świata, zasnućie tajemnicą odpowiedzi na najbardziej dręczące pytania, niemożność wyjścia z kręgu przeczaceń, porażający lęk przed śmiercią — to zasadnicze składniki „nuty człowieczej”.

Wspomniane zostało, że Czechowicz jest nieprzekładalny na język dzisiejszej odczuwalności, co można by podać w wątpliwość wobec faktu, że współczesna poezja tak samo przepojona jest poczuciem niespełnienia, zagubienia i rozdarcia. Otóż nie można. Bo źródła owych nastrojów są różne. Pesymizm Czechowicza wynika z charakteru jego psychiki i przesłank filozoficznych, podczas gdy współczesnego poety — ze stresujących człowieka procesów cywilizacyjnych i demograficznych. Czechowicz był zagubiony w bezmiarze „nienazwanego niejasnego”, współczesny poeta w nadmiarze faktów dnia, technicznych wynalazków, a przecież i przyrostu naturalnego spychającego jednostkę ludzką do znaczenia jednostki arytmetycznej w masie wielkiej liczby. (Jeśli — bo i o tym należy wspomnieć — ów pesymizm nie jest wyrazem przystosowania się do zwycięskiej mody, skoro tak powszechny, aż tak niwelujący indywidualność.)

Więc jakie jest znaczenie Czechowicza dzisiaj? Jeśli nie — spójrzmy realistycznie — pierwszoplanowe, jest to winą nie tej poezji, ale chaotycznego stanu rzeczy, w którym co dwa lata startuje „nowe pokolenie”. W ten sposób poezja „dnia jak co dzień” i „ballady z tamtej strony” to już prehistoria. Ale nie skamielina. Zarówno przez to, że żyją jeszcze ludzie, którym los pozwolił przeżyć więcej niż 36 lat, jak również przez to, że są czytelnicy, którzy potrafią czytać poetycki tekst na tle ogólnokulturowych warunków, na których powstał. Tak, historia wytwarza problem. I w historii literatury bywają niezrozumienia, które są autodegradacją.

Czechowicz to karta liryki polskiej. Niezależnie od jakości i nasilenia dzisiejszego rezonansu. Zresztą nigdy nie była to poezja dla szerokiego kręgu odbiorców. Ale ci, których miała, pozostali jej wierni. Nie można zdradzić piękna raz w nim zasmakowawszy.

Chełm-80

Komu się wcześniej opłaci?

Dokończenie ze str. 4

niez ekonomistów, plastycy, urbanistów, itd. Ale nikt nie przyjdzie na niepewne i w dodatku z rodziną. Ta niepewność dotyczy terminów oddania mieszkań do użytku. Każdy pyta: kiedy? Odpowiedzi bywały różne: w lipcu, we wrześniu, a teraz mówi się, że przy końcu roku. Ludzi denerwuje, że bloki rosną wolno i trzecie piętra jeszcze w pianach, a dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego tylko obiecuje i daje słowo honoru. Ale też fakt, że nie rozdano dotąd całej puli mieszkań. Potrzebni są nadal budowlani, elektrycy, nauczyciele (zwłaszcza specjaliści w nauczaniu początkowym), stomatolodzy itd.

W Chełmskiem powtarza się obecnie to, co znamy z wielu ważnych budów; jeśli są potrzebni specjaliści, zostaną dla nich stworzone dobre warunki. Prawda, że nie od razu, nie od ręki, ale szybko. I nie w samych mieszkaniach sedno sprawy. Odstraszające słowo „prowincja” jeszcze brzmi tu niedobrym echem. Młodzi będą szukać po pracy aktywności kulturalnej. W trakcie akcji „Chełm — 80” przyjeżdżało do miasta tyle różnych zespołów artystycznych, przeważnie studenckich, że wtworzyła się atmosfera drugiej FAMY. Też będą szukać nowi lokatorzy województwa, będą szukać nie tylko ładnych kawiarni, wygodnego kina, klubu, ale też atmosfery kulturalnego wyżywienia, autentycznej twórczości, ruchu. Nie da się tych ambicji zaspokoić wyjazdem do Lublina czy do Warszawy. Do miasteczek zlotowych „Chełm — 80” przynosi się uniwersytecką atmosferę z większym lub mniejszym powodzeniem; w województwie będzie ona musiała zostać na stałe. Co z nieoletniej akcji zaowocuje w Chełmskiem prawdziwa kultura? Jeszcze dziś jest wiele podobnych pytań, ale niech „Chełm — 80” nie zakodczyła się. Nadal trwa obopólne — studenckie i wojewódzkie — inwestowanie w siebie. Kto pierwszy powie: „Opłaciło nam się”?

Bronisław Kowalski



LIST z WROCŁAWIA

Literacka przygoda we wrześniu

ETATY, pólkaty, ćwierćkaty, jak w każdym zawodowym teatrze. Wspaniała szansa zdobycia zawodu aktorskiego z pominięciem etapu kształcenia w wyższej szkole aktorskiej. Wreszcie stabilizacja, spokojne trwanie: bez nerwówki o stały grosz, o świadczenia socjalne, o swój zakład pracy. Bardzo wiele wskazywało na to, że wrocławski „Kalambur” wdziewając z początkiem tego roku profesjonalny uniform, będzie chciał lub musiał łączyć do tych statecznych, do tych bezpiecznych, winnych od grzechu swobody, fantazji i spontaniczności. Od sprzeczności, kłótni i szczytności. Cechy te najwyraźniej ujawniały się podczas sześciu organizowanych właśnie przez „Kalambur” międzynarodowych festiwali teatralnych, kiedy to różnorodna i często różnokolorowa gawiedź wycelowała młodociałą niemal wszystkie zakątki Wrocławia, a w roku

ubiegłym, oddalonej o trochę więcej niż rzut kamieniem Oleśnicy. Ale oto „Kalambur”, podobnie jak „stu” „a Dnia” czy „Teatr 77” wywoławszy się spod mecenatu organizacji studenckiej, wstawiając w miejsce określenia „akademicki” „Ośrodek Teatru Otwartego”. Jak dotąd, kontaktów z nią nie zerwał. Bo z jakiejś innej, pozytywnej gęby mógłby korzystniejsze ciągnąć sok? Profesjonalny znaczy więc tu tyle, co bardziej dojrzały, artystycznie i warsztatowo. Ale wolał poszukiwać również nowych możliwości artystycznego wyrazu, jak i nowych jakościowo sposobów uczestnictwa w miłej kulturze i sztuce.

Przejdźmy do konkretów. Nadchodził wrzesień, a wraz z nim szansa przeżycia pięknej literackiej przygody. Nazwał ją główny organizator OTO „Kalambur” (drugim organizatorem jest Towarzystwo Miłośników Wrocławia) „Reportażem lirycznym”. Zaprasza więc do Wrocławia twórców młodego pokolenia: poetów, prozatorów, reportażystów, felietonistów, pamiętnikarzy z Warszawy, Krakowa, Poznania, Łodzi, Gdańska, Lublina, Katowic i Bialegoostoku. Piszą organizatorzy: „Niektórzy nazwa ją eksperymentem literackim, inni socjologicznym, jeszcze inni kolejną próbą integracji. Dla nas najważniejsze określenie to PRZYGODA; przygoda z nową sytuacją, przygoda z nieodczynnymi warunkami tworzenia, wreszcie przygoda z naszym miastem... jednym z miast Polski”.

26 września uczestnicy „Reportażu” spotykają się w hallu hotelu „Monopol”. Tu otrzymują dokładne informacje na temat form działania. Następnego dnia rano, w tym samym miejscu, wszyscy wsiadają do autokaru. I tu właściwy początek przygody! Wywiezieni na peryferie miasta, pozostaną młodzi i gniewni na trasie, każdy jednak w innym miejscu: z klaszonnym na przeżycie jednego dnia, z mapą Wrocławia, notesem, ołówkiem i własną wrażliwością oraz uśmiechniętą obserwacją. Organizatorzy: „Tu was będzie, tyle spodziewamy się spoj-

rzeć na to miasto, w którym znaleźliście się w tak szczególnej sytuacji; a ile sytuacji, tyle refleksji! Pewnie zetkniecie się z różnymi ludźmi, różnymi zachowaniami i postawami. Może traficie do ich domów, do miejsc, gdzie się spotykają gromadnie. Może odpooczywać na ławce, zawrzenie taką znajomość, która was zainspirowała do podjęcia ważkiego tematu. A może coś was zafascynuje, zachwyci lub zmrozi”. 10 godzin, tyle mniej więcej czasu przeznaczają organizatorzy przygodzie na uchwycenie smaku życia w „tolicy Dolnego Śląska, na zderzenie swoich spostrzeżeń z własnymi doświadczeniami i wiedzą. Tego samego dnia, w okolicach godziny dwunastej, wszyscy spotykają się w wyznaczonym miejscu ponownie. Wsiadają do autokaru i halda w pobliże góry — na trzy dni i tu, oddzieleni od hałasu i zbędnego towarzystwa, będą mieli okazję zebrać i uporządkować swoje refleksje, a następnie przelać je na papier. Formę literacką każdy z uczestników wybierze taką, jakiej wymagać będzie zebrały przez niego materiały.

Tu kończy się spotkanie, ale nie sama przygoda. Następnym jej etapem ma być redakcja kolejnej książki z wydawanego przez „Kalambur” od lat cyklu „Dziury Młodych Twórców”. Myśle, że dla młodych z całej Polski to wspaniała szansa i okazja, której nie wolno przepaścić.

Ryszard Lubowicz

P.S. Dla spóźnionych podaję adres organizatorów: Ośrodek Teatru Otwartego „Kalambur”, ul. Kuźnicza 29a, 50-134 Wrocław, tel. 44-89-12.

Kamena str. 7

Matka

Tadeusz Josiński

JESZCZE w mieście idę prosto, jeszcze się nie skuliłam, ale jest kiepsko. Męczę się, tu mi się niedobrze robi, tam i nogi... Tu, do kolan, to prawie nie czuję. Od kostek, to tak idę, jak na kuczku, mnie się widzi, że wcale, że mam drewno nie nogi. Z laseczką tu wszędzie chodzę. Złodek jeszcze dobrze służy, raz, że ja na mięso nie polecę, bo mi nie wolno i nima go za wiele, to dobrze, bo ciśnienie, ono by mi dokuczalo. A czy ja se myślałam, że ja do tych czasów dożyję? Za nic, przecie jako ja je chora. Nieraz to sobie tak pomyślałam: Boże, czy ja już taka jestem najgorsza chęzszna, że mnie Pan Bóg może trzyma na pokucie i poprawę? Ze ja tyle lat przeżyłam! Przecież ja tako kiepska byłam. Ja, patrzcie, tyle lat przeżyłam i dziś te trzy zimy do sta mi brakuje, to wiele przeżyłam.

Tak się toto, tak się żyje, i tak co rok rok mija. Mi się widziało po wojnie, że przykre to jest życie w mieście i ciężko się przyzwyczaić. Ten doktor Zakryś, on tak buntował, on tak pracował, żeby ja nie wróciła po mojej chorobie na wieś. On nie kazał dziewczynom gadać, że będzie operacja, on tylko mówił do mnie, że babcia by trzeba operację zrobić, a ona się boi. A ja już się nie tyle bałam, tylko mi się widziało, że moja córka Bronisława u Bożego Jana zmarła i ja pewnie przyszedłam do szpitala umierać. No i później, jak on mnie operował, jak on otworzył ten bok, powiedział: Ach, Wójtowiczowa, co za kobita, tak pracować! A co to za głupi łeb był, tak pracować! Coś ty za głupia była, kobito, tak harować! A na trzeci dzień siadł sobie przy mnie porozmawiać. Pytał, jak się czuję i znowu o tym, że bym na wieś nie wracała, bo mi robić ciężko nie wolno, a tam mnie skusi, namawiał, żeby zostać w Lublinie, bo tu są lekarze, specjaliści tu są, a w okoli-

each Zakrzówka ich ni ma. Wpierw zamieszkałam na Chopina siedemnaście u Moskalików, a tu, przy Świerczewskiego nad cukiernią, no chyba już ze dwadzieścia lat mieszkam. I tym się jeno cieszę, że z partii się mną zajęli, dali rentę i że w Lublinie mogłam być.

Dla mnie, barcieńko, widać — już zima. Nie lato, nie jesień, jeno już zima, bo sto lat mi już bliskie jest. Kiedyś to mi się tak widziało, że ja, gdybym o swoim życiu chciała opowiedzieć, to, o, na tej powale, i, o, na tej ścianie zabrakłoby miejsca, choćby drobno kto pisał. A dziś z pamięcią już gorzej... już gorzej. Trochę kiepska jeżdżem, wypadło z głowy. Jo już bez zima, to nigdzie nie wychodzę. Tylko co aby siedze w domu, o, i do sklepu, bo mam blisko sklep. Do Michałka na cmentarz też mało kiedy idę. Mało kiedy. Ale już nigdzie, ni nigdzie nie wychodzę. Teraz mam ciepłe, bo jeszcze mi tych grzejników dołączyli, już teraz wystarcza ciepła. Ostatnia była zima długa i ludzie narzekali, no, ale teraz, kochani, ni ma już takich zimów, jak dawniej. Panie, jak ja jeszcze tak byłam w młodym wieku, to były zimy! Śnieg leżał parę miesięcy! Dwa, trzy miesiące nie ruszyło, a śnieg taki wielgi był, że... Szłam do studni po wodę, brałam wysokie buty, takie do pola, a za cholewy nasypało się śniegu, chociaż wczoraj było odwalane! Z jednej nocy tyle nasypało. A pod nogami: pry-pry-pry!, a tero co? Upadnie trochę, dwadzieścia cztery godziny pobejdzie i zara dyszcz, i śniegu nie ma. Mrozu nie poczuje człowiek. Zimów u nas nie ma, zimy się przeniosły gdzieś indziej. U nas teraz zimy nie ma i lata nie ma. Gdzieś się to porozganiało. Ale i tak cieszy człowieka, że żyje jeszcze, że jakoś tam żyje. No, bo życie, to jest życie, to życie jest, to radość jest, że człowiek się jakoś trzyma.

Na tej ścianie zabrakłoby miejsca, choćby nasze życie kto drobno spisał. Jo byłam w Słodkowie pod Kraśnikiem rodzona i mąż dwa domy od mojego. Ja byłam z domu Szykówna, a potem, kiedy zostałam sama, byłam wychowanicą u takich jednych przez piętnaście lat. Ja pracowałam u nich, a ile się wyplakałam, kto chciał, to krzywdę mi zrobił, bo jak człowiek bez rodziców, to tak jest. Ten mój krzesny, to był bardzo uczciwy człowiek i oni byli bezdzietni. Dobrze mi było, to prawdziwe jest, bo nie przede mną nie było chowane, bo tak mnie mieli, jak własną córkę. I jo pracowałam jak dziki osioł, bo to będzie moje. Osiem morgów było pola, a las był ordynacki, ale doszedł do tego pola, to razem się złożyło jedenaście morgów. Później, jak przyszły lata, to przychodziły rozmaite i chciały się żenić. Może nie tak ze mną, jak na majątek każdy leciół. Ale oni, krzestne, nie chciały. Co kto przyszedł, to jeszcze rok, jeszcze z rok pogospodarzym sami. A potem, jak się ten Jan Wójtowicz nadół, to ja na niego nie miałam chęci, mi się widziało, że nie pójdę za Wójtowicza, ale un do ludzi i do mnie go doł: ja wezmę Winiarczykom córkę, niech nie robi, niech nie pracuje na bogaczów! Do Ameryki pojedzie — mówi — sam zarobi. To ja się cieszyłam, że będą Amerykanką, może chociaż tyle przejrze świata. Więc zaczęliśmy rozmawiać. Coś coraz bliżej, coraz to bliżej, coraz do jednej studni schodziliśmy się pić wodę. Ale uny nie chciały.

Odciągały jeszcze o rok, jeszcze o rok. Już nie byłam młodo, bo dwadzieścia sześć lat miałam, jak wyszłam za Wójtowicza, a on miał trzydzieści. Krzestne chciały zapisać ziemię, ale za tysiąc rubli. Na to matka jego — bo ojciec Wójtowicza już nie żył — po eo tak ma się wiązać, jak sobie dołoży do tej sumy, to kupi trzy morgi i będzie sam gospodarzył. Ma dać tysiąc rubli i jeszcze być za parobka?! Naplakałam się wtedy na krzestnych, że to u nich tyle lat robiłam za strawę tylko i ubranie, że za córkę mnie mieli jeno do roboty. Długo by gadać o tym. W czwrcu było nasze wesele. Po tygodniu może jo sie pytam: kiedy pojedziemy do tej Ameryki? A un do mnie: — Co byś ty se sama tu poradziła. On już był raz w Ameryce i trochę zarobił. Krzestne były stare, trochę ich tam krew-

Dokończenie na str. 12

PANIE dyrektorze — zwracam się do mgr. inż. arch. Zdzisława Drankowskiego, dyr. Oddziału PKZ w Zamościu — z chwilą powołania waszej instytucji, 1 stycznia 1977 roku, do miasta zwanego banalnie perła renesansu polskiego zaczęli napływać konserwatorzy, historycy sztuki, rzemieślnicy, architekci, archeolodzy i inni fachowcy. W rezultacie Oddział liczy obecnie około 300 pracowników, z czego 45 posiada wyższe wykształcenie. Skąd tak nagle i duże zainteresowanie tych ludzi Zamościem?

— Stwierdziłem swego czasu, że w całej Polsce nie ma dziś miejscowości tak silnie przemawiającej do instynktu przygody konserwatorskiej, jak właśnie Zamość. Udało się przy tym stworzyć tutaj takie warunki sensownego działania, o jakich kiedyś trudno było marzyć. Nie będzie kurtuazja, lecz zwykłym odnotowaniem faktu, jeśli powiem, że wielka w tym zasługa partyjnych i administracyjnych władz zamojskich, które wspomagają PKZ na każdym kroku: materialnie i moralnie. I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR i wojewoda regularnie uczestniczą w naszych sesjach czy naradach, są doskonale zorientowani w problemach rewaloryzacji zabytków i znają też dobrze potrzeby bytowe pracowników PKZ. W efekcie nasi specjaliści sukcesywnie otrzymują mieszkania, co wiąże ich z miastem. Jestem przekonany, że w niedługim czasie Zamość stanie się trwałym ośrodkiem działalności i myśli konserwatorskiej, powtarzam: trwałym, a nie sezonowym. Wpłyne on niewątpliwie na ogólny rozwój kultury w mieście, które przy końcu tego stulecia ma osiągnąć 100 tys. mieszkańców.

— Optymizm pański jest godny szacunku, niemniej ośmielam się zauważyć, że kilku waszych fachowców z dyplomami wyższych uczelni, z którymi rozmawiałem, wcale nie ma ochoty na wiązanie swojej przyszłości z Zamościem. Dwa, trzy lata można popracować — mówią — aby z dobrą, bo zamojską biografią zawodową szukać szczęścia w dużych miastach, skąd zresztą niejedni z nich pochodzą. Widać Zamość nie wydaje im się atrakcyjnym miejscem bytowania.

— Zapewne, część pracowników odejdzie z czasem do innych ośrodków, ale większość na pewno zostanie. Dla każdego rasowego konserwatora Zamość posiada wielką siłę przyciągającą, a jeśli chodzi o historyków sztuki — no cóż, przybywa ich w kraju, a tutaj mają co robić, mają życiową szansę. Proszę też pamiętać, że w przysz-

DNI PIERWSZE (IV)

„Cienie, cienie

KONIEC sierpnia i wrzesień upłynęły pod znakiem literatury i teatru; Mielpomena nie schodziła zresztą ze sceny przez cały okres Polski lubelskiej.

20 sierpnia w Teatrze Miejskim odbył się wieczór literacki „Poezja polska 1939—1944”, podczas którego recytowano utwory Stanisława Balińskiego, Władysława Broniewskiego, Zofii Bystrzyckiej, Józefa Czechowicza, Jana Huszczy, Kazimierza Anrzejka Jaworskiego, Stanisława Jerzego Leca, Leona Pasternaka, Jerzego Putramenta, Antoniego Słonimskiego, Elżbiety Szemplińskiej, Lucjana Szenwalda, Juliana Tuwima i Stanisławy Zakrzewskiej. Premierowy festiwal poetycki miał więc świetną, poza wyjątkami, obsadę i zrozumiałe, że publiczność wypełniła teatr do ostatniego miejsca, placąc po kilkanaście złotych za bilet. Zresztą dochód z wieczoru przeznaczono na cele pożyteczne: fundusz organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich i szpital ewakuacyjny 1 Armii Wojska Polskiego. Tymczasem impreza jakby zawiodła oczekiwania.

„Jak twierdzi naoczny świadek, Jan Aleksander Król już na wstępie zmroził publiczność, zamiast wziętej i jasnej pogadanki wygłaszając „zawile wypracowanie”. Na domiar złego i aktorzy recytujący wiersze także nie stanęli na wysokości zadania, przyznając się do stylistyki deklamacyjnej rodem z „najbardziej głuchej prowincji”. W ogóle, zdaniem recenzenta, cały program wieczoru budził poważne zastrzeżenia, bo został ułożony pod kątem zainteresowań i możliwości słuchaczy bardziej wyrobionych. Tymczasem obecnie, po pięciu latach okupacji, trzeba uczyć ludzi od podstaw, „dawać im na razie rzeczy najbardziej zrozumiałe, najbardziej przemawiające do uczucia, a nie np. awangardowe utwory Czechowicza”.

W planie scenicznym rzecz została przecież uratowana przez Putramenta, Pasternaka i Zakrzewską, którzy sami zgrabnie odczytali własne wiersze, a w planie bardziej zasadniczym — przez Słonimskiego i Tuwima. Ich łatwe, zrozumiałe utwory pięknie zresztą recytowały panie: Buyno i Zielińska.

Tak czy inaczej, konkludował Janusz Minkiewicz, potknięcia programowe i realizacyjne mogą zrazić publiczność, która takim zaufaniem obdarzyła organizatorów wieczoru.

Nominowanie Minkiewicza na znakomitość ze sfery krytyki literackiej byłoby zapewne czymś niesprawiedliwym wobec historii i samego satyryka, m. in. autora sloganów propagandowych „Rzeczypospolitej” w rodzaju: „Drogą gdańską i poznańską — Idź zabijać dzieć germańską”. Nie ulega jednak wątpliwości, że czołowa postać późniejszego „Stańczyka” dysponowała znaczną kulturą literacką i... znakomitym rozeznanie wśród gustów i oczekiwań ówczesnej publiczności. Minkiewicz obecny był wszędzie: w redakcjach, sferach rządowych, w kawiarniach, za kulisami teatru, może nawet na targowisku (w charakterze klienta). Wiedział, co w trawie piszczy, trafnie określał zadania literatury w tym specyficznym okresie, w którym garnęli się do niej także ludzie spoza tzw. elity, a 50 km od Lublina trwała wojna. Racje Minkiewicza to jednak tylko jedna strona sprawy, drugą, w zupełnie innym sensie, definiował sam fakt wystąpienia poetów, równoznaczny z manifestacją żywotności polskiej literatury.

Większość autorów deklamowanych wierszy przebywała w Lublinie na ogół z powodów wojennych. Zofia Bystrzycka, podporucznik Wojska Polskiego, pełniła funkcję korektorki „Rzeczypospolitej” i ludzie do dziś zachodzą w głowę, jakim cudem w gazecie spotykało się tak mało „literówek” czy innych błędów. Jan Huszcza także przyleciał ze wschodu i do tej samej redakcji, będąc przez pewien czas jakby nadwornym poetą pisma. Poza tym — wspominał po latach — „Chodziło się na jakieś „prywatki” w wypożyczonych, za ciasnych półbutach; brało udział w naradach; laziło się ze swoją przyszłą żoną do parku i do „Teatralnej”, pisało się wiersze w oparciu o parapet okienny, gdyż nie było wygodniejszego miejsca:

Cienie, cienie błądzą u okien —
jak dobrze znam cieni nazwiska!

Przed trzydziestym dziewiątym rokiem toczył się księżyc nad uroczyska.

Do tamtych wieczorów samogon co dzień ścieżki i trop płał —
tamtą radość, tamten zabobon
dziś czuwa jak szczęście czy kłtwa.”

Kazimierz Andrzej Jaworski przemierzał się w Chełmie do wznowienia „Kamieny”, Stanisław Jerzy Lec po wyjściu z partyzanckiego lasu piastował propagandę i Cenzurę w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, Leon Pasternak był szefem Wydziału Literatury w Resorcie Kultury i Sztuki PKWN, Jerzy Putrament — wiadomo, Lucjan Szenwald jeszcze niedawno pisywał kronikę i Dywizji, Stanisława Zakrzewska pisywała dla „Rzeczypospolitej” emfaticzne wiersze o tematyce okupacyjno-wojennej i organizowała z mężem teatrzyk kukielkowy „Bi-Ba-Bo”, którego pierwszy program miał zawierać takie historie: „Cwaniak — spekulant”, „Smutne losy świni volksdeutscheini” i „But-samo-chód”; wiece spodobały się one ministrowi Rzymowskiemu.

Kilku poetów przebywało jeszcze na emigracji: Stanisław Baliński w Londynie, gdzie miał zostać na stałe, Antoni Słonimski tamże, Władysław Broniewski w armii Andersa, Julian Tuwim w Nowym Jorku. Dowcip historii: poza krajem przebywali pisarze wybitni, uprawiający poetyki, które mogłyby wyjątkowo czytelnie i sugestywnie ponieść w Polskę lubelską ówczesne emocje narodu.

Od 1939 roku nie żył Józef Czechowicz, zabity odłamkiem bomby podczas wizyty w zakładzie fryzjerskim w pobliżu miejsca, gdzie dziś w Lublinie wznosi się jego pomnik.

Dwa dni po wieczorze w Teatrze Miejskim zginał Lucjan Szenwald. Wyjątkowo ruchliwy człowiek, poeta, który swoją twórczością w pewnym

Co robią zamojskie PKZ?

W tym roku zaczynamy eksport swojej myśli i techniki konserwatorskiej, a wiadomo, jak powabne i wiążące pracownika z przedsiębiorstwem są możliwości wyjazdu np. na pół roku do Afryki. Zresztą: sam miałem przyjechać do Zamościa tylko w celu zorganizowania Oddziału, aby potem ulokować się w Warszawie. A tymczasem, eo tu ukrywać, zapuszczam korzenie w zamojskiej ziemi, może także dlatego, że klimat tu zdrowy, żona i dzieci nie chorują.

— **Od pewnego czasu pracują w Zamościu ekipy PKZ z Gdańska, Szczecina, Torunia i Wrocławia. Czy to znaczy, że nadal brak wam fachowców?**

— W wykonawstwie, bo pańskie pytanie dotyka tej właśnie sfery, ludzi mamy dosyć, ale sporo wśród nich chłoporobotników, którzy nie potrafią jeszcze poradzić sobie z trudniejszymi zadaniami. Więc sięgnęliśmy po pomocą z innych oddziałów PKZ, ściągając na okresowy pobyt do Zamościa świeżych murarzy czy tynkarzy. Wykonują oni prace bardziej złożone, np. na elewacjach wzdłuż ul. Staszica, na Starej Bramie Lubelskiej i Nowej Bramie Lubelskiej, w widoczny sposób przyspieszając tempo robót.

— **Podobno bardzo troszczy się o ich dobre samopoczucie?**

— Proszę pana, to są fachowcy pierwszej wody, więc nawet wypada nam zaoferować im wycieczkę do Sandomierza czy na Roztocze, albo możliwości uprawiania sportu na terenie hotelu robotniczego.

— **A czy mnie wypada zapytać, jak przedstawia się sprawa zaopatrzenia przedsiębiorstwa w materiały budowlane itp.?**

— Porusza pan temat ograny przez prasę, ale niech będzie. Jak wszyscy, tak i my mamy pewne trudności w tym zakresie. Rozwiązujemy je przecież — dzięki pomocy władz zamojskich. Brakuje piasku na miejscu, więc na naszą prośbę sekretarz Komitetu Wojewódzkiego poleca uruchomienie wahadła kolejowego między Zamo-

ściem a Tomaszowem, gdzie właśnie znajduje się ów surowiec. Inna kwestia, to jakość materiałów. Wiadomo, że w całym kraju cegła jest zasolona i zagraża tynkom; nie na to nie poradzimy. Ale tam, gdzie możemy, stosujemy materiały dobrej jakości, przygotowane własnymi siłami. W kraju rzadko dołącza się wapno, a my posiadamy obecnie 160 m sześć, dwu — trzyletniego wapna. Dorobiliśmy się ponadto suszarni drewna, co pozwoliło nam na zgromadzenie znacznego zapasu dwuletniej, wysuszonej ścieliny, którą stosujemy do wykładania ścian klatek schodowych i do stolarki okiennej, drzwiowej itp. Tego rodzaju zaplecze „produkcyjne” w poważnym stopniu podnosi jakość wykonywanych prac budowlano — konserwatorskich.

— **Od czego, zdaniem pana, zależy ponadto jakość robót?**

— Bezspornie: od fachowości oraz etyki zawodowej rzemieślników. Ostatecznie nie każdemu można (i należy) patrzeć na ręce. Ale jakość to również stosunek do zastanej substancji zabytkowej. W Zamościu konsekwentnie stosujemy zasadę konserwowania wszystkich starych elementów drewnianych czy kamieniarskich, znajdujących się w obiektach. Na przykład w kamienicy przy ul. Ormiańskiej odkryto pod sufitem piękny, siedemnastowieczny strop drewniany — zdejmujemy go, zakonserwujemy i ponownie wmontujemy na dawne miejsce. Ludzie w białych kitlach na rusztowaniach wokół kamienic Starego Miasta, których stale mogą oglądać zamościanie, to właśnie konserwatorzy wspomnianych elementów.

— **Co PKZ zamierza oddać na 400-lecie miasta, przypadające w przyszłym roku?**

— Bloki XVIII i XIX, czyli zespół budynków ograniczonych ulicami: Staszica i Zeromskiego, obie Bramy Lubelskiej, Starą Bramę Lwowską, bastion VII fortyfikacji (około hotelu). Wykonamy ponadto wszystkie posadzki kamienne w podcieniach i odnowi-

my nie ukończone wcześniej bloki IV i V, a więc zabudowę wytyczoną Rynkiem i ul. Bazyliąską. Najtrudniejsze będą prace realizujemy na elewacjach wraz z attykami pięciu kamienic przy ul. Ormiańskiej. Wspomnę przy okazji, że działamy również poza Zamościem: wykonaliśmy wnętrza pałacu w Sitnie, w niedalekiej przyszłości zakończymy główne prace w pałacu „Du Chateau” w Hrubieszowie; znakomicie poprawią one warunki lokalowe i funkcjonalność tamtejszego muzeum.

— **A płyta Rynku Wielkiego? Coś jakby rozbabrano...**

— To sprawa zamojskiego Kombina- tu Budownictwa Komunalnego.

— **A dawna synagoga, w której mieści się Biblioteka Wojewódzka: woda deszczowa spływa po ścianach wewnętrznych, niszcząc świetne stuki.**

— To również sprawa gospodarki komunalnej, która zajmie się tym obiektem.

— **Odnoszę wrażenie, że reprezentuje pan branżową perspektywę widzenia...**

— Pomyłka. Ostatecznie to właśnie PKZ sprawują nadzór konserwatorski nad realizacjami i kierując się określonymi zasadami racjonalnego postępowania, wywierają presję na całe środowisko, zatrudnione przy renowacji zabytków Zamościa. Inna sprawa, że przy takim spiętrzeniu problemów, jakie istnieje w mieście, nie o wszystko można zadbać z należytą uwagą. Trzeba jednak wiedzieć, że będąc przedsiębiorstwem państwowym, na rozrachunku gospodarczym, mimo wszystko znajdujemy czas i siły na to, aby społecznie pomagać użytkownikom pałacu w Klemensowie: służąc im poradnictwem technicznym, nadzorując remont obiektu, odprzedając niektóre trudno dostępne materiały. Także w trybie społecznym uczestniczymy w organizacji konferencji i zjazdów naukowych, poświęconych różnym zagadnieniom Zamościa, urządzamy stosowne wystawy. Jedną z nich, przedstawiającą renowację zabytków miasta,

otwierał w tym roku w Warszawie dyrektor naczelny Zarządu PKZ, dr Tadeusz Polak — w obecności m. in. rodziny Zamojskich.

— **W kamienicy przy ul. Ormiańskiej zdarzył się podobno jakiś pożar...**

— To był mały pożar na elementach przeznaczonych do wymiany, a więc szkód żadnych nie spowodował.

— **Przy tak szeroko zakrojonych pracach dochodzi zapewne do ciekawych odkryć z zakresu np. historii sztuki...**

— Istotnie, pod tym względem Zamość okazuje się niezwykle urodzajny, a odkrywane wartości archeologiczne, architektoniczne i plastyczne mają poważny wpływ na refleksję naukową, rozwijającą się wokół przeszłości miasta i jego historycznych przedmieść, na co zwracam uwagę, ponieważ ten ostatni temat podjęliśmy jako pierwszy. Prowadzi go dr Bogumiła Sroczyńska w Pracowni Dokumentacji Naukowo — Historycznej naszego Oddziału, kierowanej przez mgr Ewę Lameńską. Wspomnę przy tym, że dotychczasowe odkrycia pracowników PKZ wprowadzają wcale nie trzeciorzędne korekty do utrwalonego w historiografii obrazu fortyfikacji i kamienicy zamojskiej. Jak łatwo spostrzec, nasza działalność ma charakter wielotorowy i przynosi efekty w płaszczyznach: materialnej, związanej bezpośrednio z pracami budowlano-konserwatorskimi oraz naukowej. Tę ostatnią w sposób bardziej złożony wpływa na treść potocznej wyobraźni historycznej.

— **Panie dyrektorze, dotyka pan spraw tyle ważnych, co subtelnych, więc proszę wybaczyć, że zadam pytanie w tym kontekście nieco brutalne i powtarzane w kraju: kiedy w końcu zabytkowy Zamość odzyska prawdę?!**

— Mogę odpowiedzieć tylko tyle: PKZ na pewno wykonają swoje zadania w Zamościu. Do takiego stwierdzenia upoważnia mnie m. in. fakt, że swoje plany wewnętrzne wykonujemy regularnie, z kwartału na kwartał.

— **Po takiej deklaracji wypada mi jedynie podziękować panu za rozmowę i udać się do innych przedsiębiorstw, zatrudnionych przy renowacji zamojskiego Starego Miasta, aby zapytać, co sądzą o własnych możliwościach w Kombinacie Budownictwa Komunalnego, a może też w Lubelskim Przedsiębiorstwie Instalacji Elektrycznych, które na wiadomym obszarze ma położyć 52 km kabli w rurach.**

Rozmawiał IJK

błądzą u okien”

Ireneusz J. Kamiński

sensie spajał dywizję kościuszkowską — poniósł śmierć w wypadku samochodowym. Przypomnijmy ostatnią zwrotkę jego „Ballady o Pierwszym Batalionie”, który pod Lenino w szaleńczym ataku zdobył trzy linie okopów nieprzyjaciela, ponosząc wielkie straty:

(...)
I kruszy, i łamie, i depce, i wali,
Dopada, szturmuje i bierze!
W Trubugowej pod jabłonkami zostali
Ostatni zabici żołnierze.
Zostali ochraniać tu strzechy i progi —
Metr tej, co do kraju przywiedzie nas, drogi.

Szenwald brał udział w walkach tego batalionu (w którym służył także Anatol Mikulko).

Po śmierci poety prof. M. Grigoriew, radca kulturalny Przedstawicielstwa Rządu ZSRR przy PKWN, złożył kondolencje na ręce ministra Rzymowskiego.

Nekrolog Szenwalda ukazał się w prasie równocześnie z zawiadomieniem o śmierci Leona Chwistka. Były członek awangardowej grupy „Formiści Polscy”, logik, filozof, estetyk, profesor uniwersytetu lwowskiego — podczas wojennego pobytu w Związku Radzieckim Chwistek okazał się jednym z wybitniejszych działaczy Związku Patriotów Polskich, zmierzających do zjednoczenia Polaków przebywających w ZSRR. Autor „Zagadnień kultury duchowej w Polsce” był ponadto członkiem Krajowej Rady Narodowej. Zmarł po długotrwałej, ciężkiej chorobie w Moskwie.

Awangarda artystyczna z reguły opowiadała się po stronie lewicy politycznej. Podczas wojny i na wyzwolonych terenach 1944 roku znana ta prawda doczekała się kolejnego potwierdzenia. Leon Chwistek, Aleksander Rafałowski, Julian Przyboś, a więc twórcy należący kiedyś lub nadal tkwiący w awangardzie, z miejsca zaakceptowali program KRN i PKWN. Jesienią 1944 roku

autor „Z ponad” kierował dwoma wydziałami WRN w Rzeszowie: Kultury i Sztuki oraz Propagandy i Informacji. I choć wiele wskazuje na to, że Przyboś niewiele zdziałał na tym stanowisku, do którego nie predestynowała go natura, fakt pozostaje faktem o charakterze deklaracji politycznej.

Skąpe jeszcze, proporcjonalne do kształtu wydarzeń wiadomości o życiu literackim Lublina docierały do innych miast przede wszystkim dzięki numerom „Rzeczypospolitej”, która zyskała wielką popularność wśród cywilów i wojska, stając się nawet przedmiotem spekulacji: zamiast złotych, za jeden egzemplarz płacono po pięć, siedem, a nawet dziewięć złotych. „W warunkach frontowych ilość gazet wysyłanych do pułków — niedostateczna. Gazety są czytane łapczywie, ale nie zawsze dochodzą. Specjalną sympatią żołnierzy cieszy się „Rzeczypospolita”. Zważywszy to, należy: zwiększyć co najmniej trzykrotnie ilość „Rzeczypospolitej”, a w każdym razie stworzyć specjalny rozdzielnik dla jednostek frontowych, zwiększając im ilość „Rzeczypospolitej” i „Zwycięzcy” — informowali dowódcy lustratorzy jednostek 2 dywizji piechoty w Żabieńcu. A pomyśleć, że dziennik zbliżał się wtedy do 60 tysięcy nakładu. Głód prasy (informacji) był jednak znacznie większy, możliwości kolportażu — ograniczone, mimo wsparcia transportu wojskowego cywilnym: 23 sierpnia uruchomiono pierwszą kolejową linię ruchu osobowego Lublin — Rozwadów oraz pasażerską komunikację lotniczą do Białegostoku (z przedłużeniem raz w tygodniu do Wilna) i Rzeszowa (raz w tygodniu do Lwowa).

Wiadomości z literackiego Lublina zaczynały powoli docierać i dalej, czego dowodem telegram, jaki nieco później skierował do swoich kolegów działających nad Bystrycą Julian Tuwim z Nowego Jorku. Trudno przy tym powiedzieć, czy w tym przepływie informacji mieli jakiś udział dzien-

nikarze amerykańscy, który wraz z przedstawicielami prasy angielskiej, kanadyjskiej, francuskiej, australijskiej i innej odwiedzili Lublin. Cała ta liczna grupa uczestniczyła w przyjęciu z udziałem członków PKWN, naczelnego dowództwa i sądownictwa, wnosząc toasty „na cześć wyzwolenia Polski, Wojska Polskiego, PKWN, Czerwonej Armii, jednoci sprzymierzonych, jednoci słowiańskiej” — jak referowano w gazecie. Dziennikarze zachodni byli też przy odsłonięciu pomnika Armii Czerwonej na pl. Litewskim (określanego przez niektórych kronikarzy mianem pomnika braterstwa broni narodów słowiańskich) oraz obejrzeni Majdank.

„Straszliwy i upiorny obóz na Majdanku — stwierdził potem Ralph Parker, współpracownik dziennika „New York Times” — powinien ostatecznie przekonać każdego, że trzeba zastosować najbardziej bezwzględne i radykalne środki, aby zapobiec powtórzeniu się kiedykolwiek napaści Niemców na Polskę”.

Jego angielski kolega, Edgar Snow, zwrócił uwagę na morderczą skrupulatność obozowej załogi. „Człowiekowi stojącemu z dala byłoby trudno uwierzyć w prawdziwość tej szatańskiej fabryki śmierci, gdyby nie jeden szczegół. Jest nim niemiecka dokładność, niemiecka systematyczność, skuteczność niemieckiej roboty. Byłem najbardziej przerażony i wstrząśnięty nie barakami i drutami kolczastymi, nie piecami, pożerającymi ludzkie ciała, lecz troskliwie przechowywanymi w magazynach i uporządkowanymi na półkach przedmiotami należącymi do ludzi pomordowanych”.

Jednego z reporterów amerykańskich obóz interesował tylko pod kątem statystycznym. „Chodził z notesem po obszarze ludzkiego poniżenia, cierpienia i śmierci — zapamiętał Jan Huszcza — co chwila wysuniętym przed siebie palcem wskazującym liczył trupy, liczył kominy pieców, liczył ocylalych, przebywających czasowo na terenie obozu, ludzi i zapisywał dane w notesie. Prócz liczb nie go więcej nie obchodziło”.

Huszcza zrywał się ponadto na pewną młodą, ładną, z porządnego domu pochodzącą rodaczkę, która na przyjęciu z udziałem dziennikarzy alianckich bez zemydlenia podlegała jednemu z nich, udając się z Amerykaninem do hotelu, o czym nazajutrz dowiedziało się całe Krakowskie Przedmieście.

Nie z założonymi rękami

Stanisław Maziarz



DOTYCHCZAS w tej rubryce „Kamery” zabierali głos ludzie, których życie zostało podzielone wojną. Na pewno więcej mają do powiedzenia ci, co połowę swojego życiorysu zapisują przed jej zakończeniem, ale minione trzydziestopięcioletnie młodości w sobie coraz więcej osób z pokolenia najmłodszych, dla których wojna nie jest tak konkretnym pojęciem, jak czas pokoju. Urodziłem się przy lubelskiej ulicy Firlejowskiej w czterdziestym szóstym i tam się wychowałem. Ojciec był stolarzem i lubił ogrodnictwo, ale zmarł, gdy miałem dwanaście lat. Mało wiem o losie podobnych chłopców, gdy dawniej nagle zabrakło im ojca, bo już w pięćdziesiątym ósmym działało to wszystko, co na początku okresu powojennego zostało ustanowione. Skończyłem podstawówkę, a potem zasadniczą zawodową przy Fabryce Samochodów Ciężarowych i od tamtego czasu FSC już zawiadnęła niemal całym moim czasem, spędzanym poza domem, chociaż młodo się ożeniłem. Odliczyć trzeba tylko odbywanie służby wojskowej. Różne prace wykonywałem w fabryce, doskonaliłem się, ale od jedenastu lat jestem kowalem, pracuję w kuźni. Moja żona Maria także, ale w stołowcu. Mamy trzech synków: Piotrek chodzi do piątej, Januszek do drugiej klasy, a Wojtek ma dopiero jedenaście miesięcy. Od niespełna roku mieszkamy w M-4, w wieżowcu na Kalinowszczyźnie.

Bardziej prosty jest więc, jak widać, życiorys człowieka powojennego. Z pozoru tak, ale i w moim coś niecoś się wydarzyło, zdarza się i zdarzać będzie. Sporo lat wyczekiwaliśmy u krewnych na to własne mieszkanie. I znowu fabryka weszła w nasze położenie. O tym wyróżnieniu i kilku innych, jakie mnie spotkały, zdecydowała jednak praca. Już ojciec nas tego uczył, że robotnik musi swoje umieć, musi się do roboty przyłożyć, że być dobrym rzemieślnikiem to jest coś. W fabryce trafiliem na jemu podobnych, którzy wymagali i od siebie i od podwładnych.

Obecne normy są wysokie, jednak u nas w zakładzie Kuźni niektórzy przekraczają je znacznie. I ja do nich należę. Nie chcę być widzem tylko w grze o jutro. Jeśli człowiek zna swoją robotę i urzędzenia, na których pracuje, jeżeli stara się poznać je jeszcze lepiej, a przede wszystkim wkłada w swój wysiłek także serce, może osiągnąć o wiele więcej. Pracuję na kuźniarce, kuję półosie, wiele rodzajów kółek, wałków, rozpierek do przyczep traktorowych i udaje mi się w akordzie i bez nadgodzin wykonywać średnio 125—130 proc. normy. W zakładzie Kuźni FSC robimy odkuwki w stu sześćdziesięciu asortymentach do żuków, fiatów, poloneza i samochodów ciężarowych. Praca jest ciężka.

Jestem przewodniczącym Zarządu Zakładowego ZSMP w zakładzie Kuźni i wiceprzewodniczącym

Zarządu Fabrycznego. Kolo z działu kuźniarek i pras ma tak wysokie osiągnięcia produkcyjne i społeczne, że zostało wpisane w specjalnej księdze Zarządu Głównego naszej organizacji. Z tej okazji zostaliśmy zaproszeni przez telewizyjną „siódemkę” do dyskusji. Gdy powiedziałem, że robotnik kujący półosie na kuźniarce musi przez osiem godzin przetrzeć około trzydzieści ton żelaza, wielu nie wierzyło. Nawet ci, którzy przy tym pracują. Obliczyliśmy: tak jest rzeczywiście przy cięższych odkuwkach. Oczywiście, człowiek się napracuje, ale i dobrze zarobi, wie, że to, co robi jest bardzo potrzebne. Nad wejściem do wydziału kuźniarek i pras namalowaliście człowieka ze skrzyżowanymi dłońmi oraz hasło temu się sprzeciwiające: Nie siedź z założonymi rękami!

W tym jest nasza szansa, by nie kibicować, aby się zaznaczyć. Kierownik naszego zakładu mgr inż. Kazimierz Zboch i wielu majstrów to przyjaciele młodzieży. Połowę mieszkań każdego roku otrzymują młodzi, miernikiem w tej sprawie są jednak nie tylko potrzeby rodzinne, ale i to, jak ludzie pracują.

Nigdy nie myślałem o wyróżnieniach za pracę zawodową i społeczną, nie dbałem o swoje sprawy, chociaż niektóre były palące. Tak się składało, że inni dbali o mnie. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jeszcze po tylu latach małżeństwa mieszkam katem u rodziny, więc od kilku miesięcy ten wieżowiec. W ostatnich latach otrzymałem brązową i złotą odznakę „Młodzież dla postępu”, tytuły „Przodownik Pracy Socjalistycznej”, „Przodujący Pracownik Lubelszczyzny”, „Zasłużony dla FSC” i brązową odznakę im J. Krasickiego. Uczestniczyłem w Zlocie Młodych Przodowników Pracy i Nauki, pojechałem pociągiem przyjaźni do Związku Radzieckiego, składając się z przodowników, no i, co sobie cenię najbardziej, byłem na Kubie, brałem udział w Światowym Festiwalu Młodzieży. Teraz zdecydowałem się mój przyszły los jeszcze inaczej: rozpoczynam naukę w technikum dla przodowników pracy, co może utworować mi drogę na politechnikę.

Jeżeli rozważam sprawę: 35 lat i ja, to nie wiem czy ważniejsze jest to, co w moim życiu dokonało się do tej chwili, czy też bardziej znaczące będzie wszystko, co przede mną. Może rzeczywiście to ostatnie. Jednak bez tego, co już było, bez tej roboty, tej zawodowej i społecznej, którą było mi dane wykonać, nie byłoby możliwe to nowe, co mnie czeka. Jestem na takim etapie mego życia, że zdaje sobie sprawę, ile, szczególnie w naszej fabryce, zawdzięczamy swoim poprzednikom. Jest w nas jednak i ta świadomość, że moje pokolenie dopisuje do tamtych osiągnięć również własne dokonania.

Edward Stachura nie żyje

TYM słowom przyniesionym przez prasę i radio zdaje się zaprzeczać rzeczywistość. Każdemu, kto znał tego o żywym — chciałoby się powiedzieć: młodzieżowym — usposobieniu blondyna, nie może wydać się możliwe zestawienie Jego osoby ze śmiercią. Zaprzeczal jej swoją osobowością, postępowaniem, twórczością, umiłowaniami piękna i życia.

„Wszystko jest poezją” — tytuł tej Jego książki jest zarazem Jego życiową dewizą i wyznacznikiem orientacji artystycznej. A szukał poezji nie w ciszy kontemplacji nie w atmosferze przekazów kulturowych, lecz w bezpośrednim zetknięciu się z ludźmi żyjącymi według praw natury. Było coś Pousseau-owskiego w charakterze tego trampa wędrującego od horyzontu do horyzontu w poszukiwaniu wciąż nowych pokarmów dla swej pasji wrażeń i wyrażań. Postępował na odwrót niż większość pisarzy, którzy najpierw wyznaczają sobie temat, a następnie odbywają „studia terenowe”. Stachura „studia terenowych” przeprowadzał nie potrzebował, ponieważ nie wyobrażał sobie życia w zamkniętym obszarze miasta Jego mieszkaniem, jakże przydatnym pisarsko i poetycko, była łąka, okolica nadrzeczna, las. „Siekierczada, Zima leśnych ludzi” — to nie powieść wynikała z powziętego uprzednio zamiaru pisarskiego, ale zapis bezpośrednich doświadczeń drwala, którym Stachura autentycznie przez pewien czas się stał w nieustannej wędrowce przez obszary życia. Tworzenie nie polegało na zapisywaniu kartek. Polegało na obecności w sprawach człowieka, bo i tak „wszystko jest poezją”. Był przekaźnikiem poezji we wszystkim zawartej.

Zdumiewała Jego zachłanność życia, Jego potrzeba wysokiego akcentu na wszystkich sprawach dotyczących człowieka. „Dużo ognia”, „Palące na wietrze”, „Cała jaskrawość” — same tytuły świadczą o pasji przyjmowania jak najwięcej. Nie jest to jednak banalna pogoda za „pełnią życia” rozumianą w znaczeniu maksimum sukcesów, ale chęć — chciałoby się powiedzieć: leśmianowska — przeniknięcia w obszar natury, obszar tej wielkiej tajemnicy, która nieustannie ukazuje swą twarz nieustannie zostaje niepoznawalna. Można powiedzieć, że ten poeta swoim życiem potwierdził prawdziwość słów Przybosa o świecie, który nie istnieje, który się ciągle staje.

Wędrowka przez życie realizowana dosłownie. Bo Stachura najchętniej brał na siebie plecak a do ręki gitarę i szedł w świat nie martwiąc się o zarobek, o źródło utrzymania. Utrzymywał się dorywczo pracą przy żniwach, przy sianokosach, przy obsłudze cegielni, a często posiłek otrzymywał za swoje piosenki z towarzyszeniem gitary śpiewane po sadach i obejściach. Tak, dziwić mogło, że ten poeta znany i uznany, drukowany w czołowych tygodniakach literackich uprawia twórczość tak „łatwą” i „trzciorzedną”. Ale w Stachurze była potrzeba przemawiania do ludzi językiem najprostszy, w sposób pozbawiony konwencji literackich. Stąd Jego ballady, które swego czasu były jednym z najchwyliwszych punktów radiowego programu.

Nie uznawał niczego poza poezją i twórczością. Nie związał się nigdy na stałe z żadnym innym zajęciem. Nie przez anarchię lecz przez wierność, maksymalną wierność iglicy swojego kompasu. Był to poeta jeden z najpierwszych pod względem zgodności życiowego postępowania z zasadami twórczości.

Startował tutaj w Lublinie. Pojawiał się tu jeszcze w roku 1958 „znikąd”. Znikąd, ponieważ gdziekolwiek był nie dbał ani o miejsce zamieszkania, ani o zapewnienie sobie posiłków na dziś i dzień jutrzejszy. Dbal tylko o wiersze, których plik miał za najważniejszą część ekwipunku. Że nie zapominał o miejscu swoich pierwszych poetyckich kroków, dawał temu świadectwo niejednokrotnie już jako wybitny poeta odwiedzając nasze miasto.

Nikt nie przypuszczał, że w wieku Jego 11 lat przyjdzie o Nim pisać w czasie przeszłym nieodwołalnym. Widocznie za mało Mu było życia dożnanego. Musiał je powiększyć o Nieżnane.

Eugeniusz Mitaszko

POTOP

więcej ognia woda
ile wykonujesz ten potop
powtórz ten numer i życiem
kiedy je innym zabierasz
zerwane mosty
to kiepska charakterystyka
albo te gagi
z tonącym dobytkiem
widziałem już lepsze ujęcia
i tak znajduje się arka
w której jest wystarczająco sucho
aby umierać z pragnienia i
życia

UPADŁY ANIOŁ

nawet kupno jednej duszy
nie leży w sferze jego możliwości

Kamena str. 10

nie może sobie pozwolić
również na rogi
ogon ma krótki i rozdwojony
resztki skrzydeł zakrywa
specjalnie uszytą peleryną
niewinność oczu zamazuje smółką
starannie pielęgnuje oddech
polykając siarkę
coś z tego że pozwalają mu pracować
w siódmym kręgu piekielnym
nie dostaje nigdy premii
z powodu ujawnienia jego byłej niewinności
może inhalacje przy smażeniu
szczególnie zatwardziały grzeszników
coś mu pomogą
choćby na porost rogów
ale to jest bardzo wątpliwe
bo ze wspomnień wykrzykiwanych z kotłów
wdycha tylko dobre uczynki
miesz w kotłach smółkę
mieczem opanowanym
i ciałe jeszcze nie może
upaść wystarczająco nisko

Jarosław Barszczewicz

czasem
pogadaby człowiek
sam
ze
sobą
ale gdzie tam
ja mu pytanie
o on mi
dwa

czasem
chciałbym zostawić to wszystko
to głupia nadzieja
że mam coś jeszcze
do zostawienia

wczoraj wróciła do mnie
pierwsza miłość
stanęła w progu i powiedziała
wróciłam
bo
wszędzie tam gdzie cię nie ma
jest mi ciebie za dużo

MEZALIANŚ

ja i JA
który z nas Jest
który z nas Bywa
którego z nas Nie Ma
wysyłamy za sobą
listy gończe
ja i JA
mezalianś
zazowaty duet
który mnie MNIE
rozgrzesza

NA podeście Urzędu Gminnego czekał już na niego organista Mieczysław Kowalski. — Kościelny powiedział mi, że pan przyjechał, a ja pańskiego ojca trochę znam. Pańską matkę też. Ona długi czas mieszkała u pana Bechcińskiego. On już umarł. Po nim nastąpił Kozłowski. Ten Bechciński był rencista, inwalidą, z czasów pierwszej wojny. Po ślubie pański ojciec też się tam sprowadził. I chyba pan w tym domu przyszedł na świat.

— Daleko to stąd?

— Kawaleczek. Tu wszędzie blisko. Zaprowadzę pana.

Ruszył osłonecznioną, wybrukowaną kocimi łbami, zakurzoną ulicą. Wzdłuż ogrodów i domków z wapiennego kamienia, między którymi od czasu do czasu piętrzyły się budynki z cegły. Przewędrowali tak może dwieście, może trzysta metrów.

— O, to tutaj.

Zobaczył dom zaniedbany bardziej niż inne, pochylony i w kilku miejscach na narożach wykruszony. Nagi, brudny w świetle słońca fronton z filungowymi drzwiami i po jednym okienku na prawo i lewo. Parkan był zwalony, ogród wydeptany, krzaki polamane. Ponad drzwiami i okapem skośnie wznosił się dach pokryty blachą. Z tego dachu wyrastała mansarda z okienkiem zabitym deskami.

— Matka z ojcem mieszkali w tym pokoju na gorze — powiedział organista.

Zapukali do drzwi. Otworzył im stary, niechętnie do nich usposobiony mężczyzna.

— Nie sroż się Kozłowski, tylko wpuść człowieka, który się w twojej chałupie urodził.

Wąskie, prawie nie używane już schody aż zatrzeszczały pod ciężarem jego i organisty.

— Tam już teraz nic nie ma — wołał za nimi Kozłowski. — Ani jednego mebla. Ja tam mam kłód. Trzymam zboże, węgiel, szczapy, co tylko popadnie.

Otworzyli drzwi. Przez półmrok pocięty jasnymi pasami dostrzegł pokój tak maleńki, że trudno sobie było wyobrazić, że kiedyś, przed trzydziestu ośmiu laty, mieścili się tu w piątkę. Istotnie był zawalony drzewem, węglem, worami ze zbożem i różnymi rupieciami. Na ścianach, gdy im się dobrze przyjrzał, odnalazł ślady dawno naklejonych tapet. Tutaj to wszystko się zaczęło. Tutaj w wieczór Nowego Roku schwytały ją bóle, a ty poruszony do żywego jej stanem, wdziałeś na siebie, co miałeś i pobiegłeś wezwać położną Czerwińską. Dwaj twój młodsi bracia, Janek i Stefan, zostali przy niej aż do momentu, kiedy wróciłeś z akuszereką, a ta wyrzuciła ich z domu. Byłeś straszliwie zaniepokojony, chorowała przecież w okresie ciąży, musiałeś ją wozić aż do szpitala w Kaliszu, bałeś się, że coś niedobrego może się przydarzyć albo jej, albo dziecku. Dopiero spokojne, rozważne ruchy położnej Czerwińskiej przywróciły ci szczyptę spokoju. Podczas gdy ona, także niepewna, czy przetrzyma to wszystko, zwiłala się na łóżku z bólu i lęku, położna szykowała swoje akcesoria, zagoniła gospodarzy na dole do grzania wody, gromadziła białe płótno i szarpie do tamowania krwi, w końcu wezwwała cię do obolałej i wspólnym wysiłkiem przenieśliście ją na fotel, a ona następnie wymościła łóżko świeżą słomą, nakryła je trzema prześcieradłami i ułożyła odpowiednio poduszki.

— Nie krzyż, nie krzyż — mówiła do twojej żony — nie ty pierwsza i nie ostatnia jesteś, co ma taki kłopot. A potem, w środku nocy, gdy wszystko już było przygotowane, bóle na chwilę ustały i zarówno obolałej jak i tobie wydawało się, że to jakiś fałszywy alarm, że rozwiązanie tak czy owak się odwlecze. — Do rana jeszcze dużo czasu — powiedziała niewzruszona położna. — Kiedy już prawie zasypiałeś skulony na krześle, ponownie rozległ się jej krzyk, otworzyła się i odeszły wody płodowe, a ty nie mogąc ścierpieć jej szalonej z bólu twarzy wybiegłeś z pokoiku, zbiegłeś na dół, wróciłeś z powrotem, akurat, by ujrzeć jego wyrzynającą się z jej ciała główkę i usłyszeć rozkazodawcze okrzyki położnej: — Przyj, przyj, ile masz tylko sił, jeśli chcesz pomóc swojemu chłopcu. — Bo nie wiadomo, jakim sposobem, Czerwińska już wtedy odgałda, że z głębi jej ciała wynurza się syn. Była zimowa, ranna i ciemna godzina, kiedy wreszcie rozległ się w pokoiku jego skrzekliwy płacz, a położna odcinając pewnowię łączącą go z organizmem matki, pokazywała ci go jakimś odruchowym gestem. — A nie mówiłam? Syn. — Obmyła go w miseczce z wodą z brudu wód płodowych i oddała matce. — Posiedź teraz przy niej, zanim nie zaśnie — powiedziała na odchodnym — i zastanów się, co też twojego polomka w życiu spotka. A jak się rozwidni, znajdź jej do pomocy jakąś dziewczynę, bo sama przez te pierwsze dni nie da sobie z nim rady. I pilnuj dziecka, żeby go nie przyduś, gdy zaśnie. Ja będę za kilka godzin. Trochę się zdrzemnę. — Odeszła unosząc ze sobą aure swojej rutyny i doświadczenia. Zostaliście sami w tym pokoiku. Po raz pierwszy we trójkę, całą powołaną do życia aktem jego narodzenia rodziną. Obydwaj bracia przyszli po paru godzinach, aby ostatecznie przed nią skapitulować, wzięli swoje rzeczy i pojechali do Ostrowca, do Leona. Czerwińska sama w końcu przyprowadziła tę dziewczynę. We dwie zajęły się twoją żoną i nim, a tobie każały nawet wyjść z domu, ponieważ niewiele pożytku z mężczyzny w takiej chwili. Idąc tą drogą w stronę centrum wsi, poczułeś nagle, w potoku wzburzenia, jaki przez ciebie od kilku godzin przepływał, przeraźliwy, chwytający cię za gardło i na swój sposób upokarzający lęk, wynikający stąd, że nie potrafiłeś sobie odpowiedzieć na pytanie, co z wami będzie, z czego i gdzie będziecie żyć, w jaki

sposób sprawisz, że chłopiec ten będzie miał w życiu wszystko, co niezbędne. Spotkałeś w czasie tego marszu jednego ze swoich kolegów, może Jakubowskiego, może Kubickiego, może Grebera i on pouczył cię, co w takich chwilach, istotnie groźnych i lekliwych mężczyzna powinien zrobić. Szybko więc znaleźliście się w sklepiku przy budynku mieszczącym się w tej samej chałupie co szkoła, a właściciel, zdając sobie sprawę, że panowie nauczyciele nie mogą pić wódki o tak sobie, na oczach wszystkich, zaprosił was do swojego mieszkania i oddał wam je do dyspozycji na kilka godzin, dbając przy tym, żeby trunki i zakąski przez cały czas w odpowiedniej ilości znajdowały się na stole. On, po latach, oddałby majątek za zapis tej chaotycznej, coraz bardziej euforycznej rozmowy,

Filungowe drzwi

Wojciech Roszewski



Rys. E. Ingłot

jaką wtedy przeprowadziłeś z przyjacielem czy z przyjaciółmi. — Powiedz mi Marian — mogłeś tak zacząć, jeśli to był właśnie Jakubowski, mąż jego przyszłej chrzestnej — czy ten mój Michał przyszedł na świat w dobrym czasie, czy złym? — Nie wiem, Józek. Naprawdę nie wiem. Nie kłopotcz się o to dzisiaj. — Jak myślisz, będzie ta wojna czy nie? — Zapytaj o to kogoś innego, weselszego ode mnie. — Więc myślisz, że będzie. — Pewności nie ma. — Wiem, że uważasz, że będzie. — I co z tego, że tak uważam, człowieku. Wszyscy mogą tak uważać, a przecież mężczyźni się żenią, kobiety wychodzą za mąż, przychodzą na świat dzieci, życie toczy się starym trybem, czy ty myślisz, że my, siedząc w tej wsi, możemy odmienić świat? Pij lepiej. Pij ze mną i z matką zdrowie. — Wiesz, bo jak go zobaczyłem w tym pokoiku... To maleństwo. Takie nieporadne i bezbronne, to zrozumiałem, że mógłbym przeżyć wszystko, ale nie to, gdyby z nim miało się stać coś niedobrego. — Gadasz tak, jakbyś tylko ty miał dziecko, tylko tobie urodził się syn. Kiedy już dojdzie do tej wojny, będziemy się bronić. Nie dopuścimy ich tak łatwo do swoich dzieci. Ludzi naginie, może nawet my zginiemy, ale co robić. Pij. Dziś możesz pić. — Boję się. Naprawdę, boję się o niego. — Pij. To, o czym mówimy, nie jest w naszych rękach. Nie mamy wpływu na bieg wydarzeń. — Później, gdy alkohol już trochę rozgrzał cię od środka, ów pierwotnie towarzyszący być może tobie lęk ustąpił i przeszedł w skrajną postać każdego lęku, w brawurę. Co tam? Ważne, że go mam. Dość tego krakania. Nie będzie żadnej wojny. Mamy sojuszników. Oni się nas złączą. Tylko tak groź. Kto się ich złączą — przegrywa. Kto się im przeciwstawi — wygra. Najważniejsze, że go mam. Że jest zdrowy i wszystko ma co trzeba. Że ona tak wiele

nie cierpiała. A w razie czego to i ja chyba zdolny jestem do tego, żeby udźwignąć broń. Długo tutaj nie posiedzimy. Niech tylko dobiegnie do końca ten rok, pakujemy manatki i wyjeżdżamy. Jak nie będzie wojny, pójdę się kształcić do Instytutu Robot Ręcznych i Rysunku. Mam tam dwóch stryjów. Oni pomogą mi się dostać. I życie jakoś przędziej czy później się ułoży. Tak jak ułożyło się Leonowi. Wiesz, Marian, ja chciałbym, żeby twoja Genia razem z Leonem byli chrzestnymi. Nie masz nic przeciwko temu? Ona się przecież przyjaźni z Jadźką. Wesela nie wyprawiliśmy, bo nie było za co, to przynajmniej te chrzestiny. Jak Jadźka będzie czuła się jeszcze słabo, to Marysia, żona Leona jej pomoże. Myślę, że za miesiąc już go będzie książę Jabłoński chrzczył. Tutaj. Na miejscu. Nie w tym Grodzisku. No i panią Krystynę razem z panem Tadeuszem też zaprosimy. Pan Tadeusz chyba nie przyjdzie. Pański honor mu nie pozwoli, ale powie, że ma dużo roboty. Pani Krystyna — tak. Skoro użyczyła nam swojego powozu, to i na chrzestiny małego się pofatyguje. Janeczek i Stefanek także pewnie zjadą. Dziadek Wawrzyniec i babka Anna już chyba nie. Będę musiał jechać do nich z wnukiem, jak podrośnie. Głasi chyba mąż nie puści. Z jej rodziny to najwyższy brat Stach. Ale to też niepewne, bo kawał drogi. Gdy mi się życie ułoży, będę miał tyle dzieci, co mój ojciec. Tylko Jadźka chyba nie podola. Nie uważasz, że jesteśmy dziwni? Tacy jacyś nieśmiali. Jakbyśmy po ziemi chodzili na palcach, żeby nikogo nie urazić. Za mało w nas gniewu. Za dużo tej grzeczności i poczciwości. Za głady jesteśmy. Okręcają nas sobie wokół palców. Zjemy tak na pół gazu. Mówimy, a usta mamy przymknięte. Pij Marian, bo już niedługo zacznie się normalna orka. Jadźka to nawet nie będzie miała czasu, żeby porządnie ten poród odchorować. Zaraz się zbiegną z tym, to z tym, a ona jak ją znam, nie będzie potrafiła odmówić. Kim my tu jesteśmy? Ludzie nas niby szanują, czapki na ulicy przed nami zdejmują, nie patrząc ani na nasz, ani na swój wiek, ale w głębi duszy myślą, oho, idzie nauczyciel wiatrem podszty. Jak byłem w Wichertowie, to jeden z moich kolegów chciał się żenić z córką gospodarza. Ona zachowywała się tak, jakby na to czekała. A jak jej o tym powiedział, roześmiała mu się w twarz. — I ty Kaziu — tak mu powiedziała — co cię sobie, że ja się za ciebie wydam. — Daj spokój, daj spokój. Pij. — Nie nawykłeś do alkoholu, wódka podana przez sklepikarza wprawiła cię najpierw w desperacką euforię, później zacząłeś żartować, a na koniec popadłeś w przygnębienie. Wracając do domu zataczałeś się z boku na bok, pełen obaw, że jej coś się stanie, gdy zobaczy cię, jak wyglądasz. Wiesz w ten zimowy, przesywający chłodem wieczór dawno ułożyła się do snu, jedynie psy na ogłós twoich kroków targwały się na swoich łańcuchach, na drodze czuły się skute lodem aż do dna kałuże, sypał śnieg i studził ci czoło mokrymi, gwałtownie topniejącymi płatami. Narobiłeś rumoru drapiąc się po schodach do małego pokoiku, drzwi otworzyła ci rumiana i brzydka dziewczyna wiejska wynajęta przez położną Czerwińską, ona złożona na białych poduszkach, z dzieckiem otulonym w becik, że dostrzegłeś tylko jego główkę, z wyraźnie się już rysującym wysokim, odziedziczonym po tobie czołem, spojrzała tylko na ciebie i uśmiechnęła się wyrozumiale i — wciąż jeszcze wycieńczona — dała ci znak ręką, abyś nachylił się nad nią, a gdy to uczyniłeś, wzięła chusteczkę i wytarła ci to mokre czoło. — Nie masz pojęcia — wyszeptala jakby w gorączce — jaka jestem szczęśliwa, Józek. — I wówczas przeminał w tobie ten lęk, zobaczyłeś bowiem, przekonałeś się, że ona niczego nie żąda od ciebie ponad to dziecko, że niezależnie od okoliczności, czy będziesz pod wozem czy na wozie, podzieli z tobą swój los, będzie żoną cierpliwą, pełną kobiecej pokory i miłości. Zasnąłeś, a gdy obudziłeś się rankiem z solidnym bólem głowy, już jacyś ludzie zdążyli przywieźć do niej małą i zwinną staruszkę, która siedziała przed nią, uniesioną ponad poduszkami z obnażonym przedramieniem, a ona trzymała w dłoniach strzykawkę i szykowała się jej zrobić zastrzyk dożylny. — Nie gniewaj się na mnie — powiedziała — ale ja tu jestem jedyną pielęgniarką w okolicy — no i nie mogę przecież odmówić. — Ubrałeś się, obmyłeś twarz w chłodnej wodzie i drogą ubieloną śniegiem, który rozpadał się w trakcie twojego snu, powędrowałeś do tej starej, walącej się już prawie szkoły, gdzie czekały już na ciebie okutane w szale i chustki dzieci, dziewczynki i chłopcy, córki i synowie miejscowych. W chwili, kiedy wszedłeś do klasy, wstały i powiedziały głośno: — Dzień dobry panie profesorze. Życzymy panu poclęchy z synka. — Coś mignęło i zacerwieniło się pod oknem. To dwa gile przyleciały do wystawionego na mroź karmnika, by unieść w dziobkach kilka przeznaczonych dlań ziaren. — Zosiu — zwróciłeś się do małej dziewczynki z warkoczykami. — Czy możesz przeczytać nam, co napisałaś o podwórzu. — Na podwórzu — zaczęła sylabizować dziewczynka — jest wiele różnych rzeczy. Studnia, stary wóz, koryto dla świń i stos drzewa. Najważniejszy jest pies Azor. On szczeka i biega przez cały dzień. Ja się go nie boję, bo to jest nasz pies. Mogę go głaskać po karku, a on mnie nie ugryzie. Jak Azor jest zadowolony, to macha ogonem. Jak jest zły, to warczy... Tatusi powiedział, że on pilnuje domu...

Fragment powieści „Zapis stanu lekowego”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku.

Matka

Dokończenie ze str. 8

ni buntowali, bo czekali korzyści, trochę by Wójtowicz z nimi razem pogospodarzył, posiadzioby i byłoby nasze. Trza się zgadzać z ludźmi, choć są takie. Kupił dwie morgi pola na Kolonii Góry w gminie Zakrzówek tam śmy gospodarzyli, tam my biedowali. On umiał grać na klarnecie, zebrało się czterech wstowych chłopaków, jeden bembnista i chodzili grać na wesela, na zabawy żeby zarobić. Dzieci było, pięcioro było, ale została się tylko Feliksa. O Bronce już mówiłam, ona nam zmarła w czterdziestym trzecim, a dwoje to każde krótko po urodzeniu. W piętnastym roku, wojna już pierwsza trwała, przyszedł na świat Michał. Z nim potem było najwięcej kłopotów i nadziei dużo było, bo on taki był, że człowiek mógł się spodziewać po nim dobrego.

Michał był mądrym chłopakiem. Uczyl się, dobrze się uczyl. Gdyby on miał tak, jak dziś mają dzieci, panie, to on by się bardzo dobrze uczyl, ale nie było, nie było za co i nie mieliśmy pojęcia, a ojciec... Mąż tak mówił: — Ja się nie uczylem i chleb jem. W Słodkowie Michałek skończył tylko trzy klasy, a potem w Zakrzówku czwartą i piątą, i mówił: — Żebym mógł jeszcze dwie klasy skończyć, to bym poszedł na zawodowego. Bo to wtedy najtaniej było iść za księdza, albo do wojska. Jaka on miał chęć, ale cóż, jo ci nie poradzę. On zawsze godol: — Mamo, jak jak się wyuczę, to was zabierę do siebie. Był taki kierownik Wolenin, on nas namówił, że Michał zdolny, że niech skończy chociaż te powszechną. I uczyl go ten człowiek, upilnował, chociaż syn był już dorosły, doprowadził do świadectwa. Uczyl się nie było przy czym, tylko ta lampa naftowa. Nakrywał ją i siebie kocem, bo w jednej izbie byliśmy i tam się w nocy douczał. Na naftę ciężko było, ale mu nie żalowałam. On się czeplił z zięciem Jargiełą, mężem mojej córki Feliksi, czeplił się belcarki chodzić. Poszedł, to se już zarobił na tę szkołę, na te książki. Jak się uczyl, to ja sama na takiej skrzynce, bo sieczkarni nie było — bo to taka gospodarka: nie na koń i nie na plechote — sama rzeźłam sieczkę, żeby go nie odcłagać. Śnił wtedy były nie takie, jak dziś, to w Zakrzówku załatwiłam u jednych znajomych, żeby mógł tam zimą nocować. Jo chciałam, bardzo chciałam, żeby nadrobił i skończył. Prenumerował gazety, z cztery czy pięć. — Może macie pięćdziesiąt groszy? Pięćdziesiąt groszy tylko. Na tatuś nigdy nie zawołał. O pieniądzu ciężko było przed wojną. Ja tam

krasć tyż nie poszłam, ale wysuplałam, żeby miał, masz, poczytaj sobie. To nie to samo, co ma dzisiejsza młodzież. Wy popatrzcie na moich wnuków, na prawnuków. Dziś jest dobrze. Moje dzieci, gdyby miały taką możliwość nauki! Uhm... Ojjojjoj! On zawsze do mnie: — Mamo, tak nie będzie, jak jest, to się wszystko zmieni, bo to ta burżuazja, to wszystko złe, musi się zrównać. A ja go pytałam: żeby był biedny i bogaty razem? Ale to się nie zmiesza, nigdy nie zrówna! On to mi zaraz tłumaczył, ale sam jeszcze wtedy pewnie mało wiedział. Gdyby Michałek przeżył, do szkół by poszedł po wojnie. Może wojewodą by był teraz, może sekretarzem, albo jakim ministrem, może kim?! Zaszedłby daleko mój syn. On był zdolny, jego by wynieśli i za te szkoły, i za to, co on robił w czasie wojny. On by dzisiaj był kimś, kimś ważnym.

On chciał nawet do tego wojska iść na podoficera, żeby się uczyć, ale oni zrozumieli, kto on jest, jakie jego zapatrywanie. On powiedział potem: — Mamo, w wojsku teraz, to jeno dworusowi być. Tam honor trzeba schować, jeno dworusem tam być, kłaniać się, przymilać i chwalić wszystko, co dokola. Sama widziałam. Te starsze były takie skłete. Taki starszy, taki officer, to był już wielki dziedzie dla ludzi. Tak, jak i dzisiaj czasami mamy takich, że panowie wielkie, chociaż przedtem nie byli: taki mały człowieczek, jak i ja, a jak się puszy! Czy to młodszy, czy starszy, ale ile to je takich kaleków. Niech ich geś kopnie! W jeden jednak dół pójdziemy. Ale teraz ochrona człowieka jest, taki musi się tłumić, musi ukrywać, że on taki hardy, a wtedy nie. Michał dorobił te szkoły sobie, ale go nie przyjęli. Drugi raz próbował, zdał, ale poszedł na losy i znowu na niego nie popadło, został się nadliczbowym kandydatem. I znowu swoje prawił: — Mamo, do wojska dzisiaj ni ma się co pchać, kto się dostał, ten się chępli, jak by miał z czego. Dziś w wojsku jeno jednemu dworusowi może być dobrze, bo krzyża przygnie i się nie poskarży. Mnie i na to nie pozwolili.

Choć on i tam przed wojną co czynił, bo zbierali się czasem u nas, czasem gdzie indziej, to z polcją za wiele do czynienia nie miał. Raz jednak było już licho. Przychodził do nas taki światowiec, z chłopakiem moim się zaprzyjaźnił. Jeszcze z pierwszej wojny można było znaleźć broń i kule, a potem się okazało że on był w znowu z polcją, w ten sposób chcieli Michałka dopaść i dopadli. Przykro mu było do tego więzienia pójść, ale poszedł, pa-

trzenie, siedzieć. W tym Janowie Lubelskim siedzieli różne za politykę. No, jak go tam wyćwiczyły, to już był potem dobrym działaczem. Tam mu dali nauki. Wrócił taki inny, ooo!, to już inny był chłopak! Zupelnie. No, już co tam robił między młodymi i starszymi — co raz, co raz to więcej. Coraz to więcej! Do nas przychodzili różne, bo my mieszkali pod lasem i nie było widać, że się schodzą, było za wsią, przychodzili i zebrania. Przyleciało dwóch-trzech, to oni wychodzili na dwór, już mają swoje rozmowy, gadki jakieś, tajemnice. Ale ostrożny był z niego chłopak, z byle kim więcej się nie zadawał. Słyszało się, że granatowe pytały u ludzi o Michała. Coś im się nie podobało, coś na niego znowu zbierały. Może ktoś na niego donosił, może co innego, ale nam ludzie mówili i ostrzegali. Im chodzilo, gdzie Michał się obraca, gdzie chodził po powiecie.

O ludziach, to różnie można mówić. Psa milczkowatego trzeba się bać. Rzucisz mu kawał chleba, a on cię pokąsi, podłeci i ukąsi człowieka. W naszej wsi dość dobre ludzie były. Ja to nie miałam nikogo takiego barzeńko dobraneńkiego i potem złego, ale tak pośredniego. Za nami trzymali sąsiedzi i nam mówili. A było się czego obawiać. Póki mu Janów nie dał zastrzyku, to jeszcze był dla domu, ale, jak mu tam daly towarzysze w więzieniu zastrzyki... Wziął się wtedy mocno za politykę. Z Krasnika takie bojowe ludzie przyjeżdżaly. Przychodziły do nas chłopaki i żonate mężczyźni, to w nas zebrania bywały. To mi się widziało: oj, myślałam, jak to ludzie wszystko daleko wiedzą. Ja sobie tam przy kuchni byłam. Miałam robotę, ale trochę słuchałam, chociaż mnie tak bardzo nie obchodziło, ale słuchałam trochę: taid król, taki cesarz, o wszystkich krajach mówili, ja tego nie rozumiałam. Mnie się ale podobało, że oni się tak interesują. A dziś to i ja coś tak mniej więcej rozumiałam.

Byłam i jestem wierząca. Jak syn do komunistów przyszedł, to niektórzy do mnie: czemu ja pozwałam. A ja nie miałam nic przeciw. Mówię mu: — Wiesz co? Ja to ci nie sprzeczę. Jak chcesz, tak rób, aby ci dobrze było. O mnie nie chodzi. Już ja, mówię, przeżyję, już ja mam wiek duży, a czy będę długo żyć, czy nie, nie wiem. Jak ci dobrze będzie, tak rób. I dobrze było, dobrze było, bo moje dzieci nie były złodziejami, Cyganami. Michał mówił mi, że potem nie będzie tak, jak Piłsudski rządził. Wtedy i potem w czasie wojny, to Michałek mnie i tej Bronce, co umarła, to opowiadał niejedno, to myśmy wiedzieli, że on coś takiego mądrze robi. Jo się temu nie sprzeciwiałam. Jak w Hiszpanii wojna była, to syn coś zbierał pieniądze, jeździł, zniknął na całe tygodnie, bo go wysyłali po całym kraju. Dobrze dziecko było. O, bardzo jemu o mnie chodziło. Jednego roku byłam chora na nogi. Coś się zrobiło, nie mogłam chodzić, nie mogłam nogę spuścić z łóżka, ale co to było? Jak on latał i się starał, to naprawdę! Nie miał grosza, to zarobił gdzieś, ale lekarstwo do nacierania musiało być. Rok cierpiałam

na te nogi. On bardzo dbał, on tak pragnał, żeby ja choć nie umarła, on tak się bał, ale mnie z tego wyciągnął. On miał być na moim pogrzebie, a wyszło inaczej — ja miałam być na jego, ale nie byłam, bo to nie było możliwe. On dla rodziny był dobry i dla każdego. Był dobry i jak kto mu coś zasłużył, to on się nie obezwał. Kto inny był wybuchowy, ale on do takiego nie poszedł i nie odzywał się do niego, nie powiedział nikomu złego, nie życzył mu, nie odkazywał. On był mojej natury. W czasie wojny Michał mówił, że w niektórych ludziach złe nasienie jest. Martwił się, że tak czasem Polak przeciw Polakowi, że zaufania za mało między ludźmi. On zawsze se tak gadał: — Jak ja bym, mamo, przeżył, to mamie będzie dobrze. A jeśli mnie zabiją, to będą tacy ludzie, że będą o was pamiętać. Był tego pewny, tak Budy już nie będzie, mówił, nie będziecie biedować, nikomu już tak źle nie będzie, jak było. I tak prawdziwie mówił. Lubiałam tego słuchać.

Przecież on to jakimś tam był w tych lasach, jak on tamtydy chodził z partyzantami. Ludzie gadały, te co przychodziły z lasu, albo skądś tam, to gadały o nim do mnie, że on ich główny dowódca i chwaliły. — Ooo, żeby pani wiedziała, mówił mi młody Żyd od Szmulów ze Stróży, jaką on ma szarżę, jaki on jest, jaki on dobry człowiek. Oni się chronili pod jego skrzydła, żeby przeżyć w Gwardii Ludowej. Jak to jego partyzanty dobrze się obznajmiły z nami, to córka moja Feliksa Jargiełowa i ja, i Bronka dopóki żyła, szyłyśmy spodnie chłopakom, koszule, narządzały my, co trzeba. Czasem trzeba było jakich przeprowadzić. A ja sama do Lublina jeździłam, na Bronowice, na Sławinek, Strachu dużo przeżyłam, kiedy z Krasnika pociągiem jechałam, ale trzeba było synowi zawieźć stoniny, jaj i czego tam było, żeby ludziom nie był ciężarem. Czekalam na niego nieraz, czekałam całą noc, a on przyszedł, ucałował moje ręce, rozmawiał, wypytywał i tak jak siedział zasypiał przy stole. Siedziałam do rana i tak sobie na niego patrzyłam. Synku, myślałam, jakie ty niebezpieczne życie obrałeś.

Długo nie wiedziałam, że go ktoś wydał i że przed dworcem w czterdziestym trzecim zabili, na Unieckiej pochowali. Dopiero po wojnie przeniesiony został w Alei Zasłużonych leży i czasem do niego idę. Kiedy go odkopali, no, musiało zmarnieć to ciało. On miał taki znak na głowie, pod włosami. Jak by palcem kto machnął, tak skóra była inna w tym miejscu. Niektórzy mówili, że „Zygmunt”, bo na niego tak w partii i partyzantce mówili, że on całkiem do mnie podobny. On blondyn był, włosy miał jasne, takie ładne, ja wiem? Można tak powiedzieć jak to o swoim dziecku, no, ładne było. Nie wiem, jak to nazwać takie oczy, jak on miał, też podobne do moich, ale moje już wyblakły. On dużo gadał, składało mu się, on był mocno do mnie podobny. Gdyby on przeżył, gdyby on był teraz z nami...

Tadeusz Jasiński

Wacław Oszejca

MOJA WOJNA

pan wojny nie pamięta
pamiętam
choć jestem z czterdziestego siódmego
jeszcze w wiele lat później
kiedy tylko nad naszym domem
zawarzał samolot
babka nieboszczka
wychodziła przed próg
nasłuchiwała
buczy ciężko
wiezie bomby na ruskich
brzęczy ostro
leci pusty
ulga ból skurcz w gardle
tam skąd wraca mówiła babka
ploną ludzie i domy
i strach
za następnym razem może się to stać
u nas w Zwiartowie

Kamena str. 12

JAK MOJA MATKA BYŁA MŁODA

już nad ranem mojej matce
przyśniły się ogromne zwaly
ropiejącego cuchnącego mięsa
i wielka rzeka leniwa i brunatna
od tamtego czasu
choruje na brak wyobraźni
nie może zrozumieć
dlaczego lubimy kryminaly
przechodząc obok
prostokątnego komina
naszej piekarni
odwraca głowę
z dala też omija
drewniane baraki
i boi się samolotów
choć po ich cienkim
brzęczeniu zgaduje
że bomb nie niosą

BRACIA

krw Ablu wsiąkla w oltarz
głowę Szczepana roztrzaskał kamień
John upadł twarzą
w mulistą wodę ryżowiska
nieznanego Wietnamczyka
spalił napalm
Johan zamorzył
na przedmieściach Stalingradu
Wanię przywalągu
Mury Reichstagu
Staska rozzerwała
mina pod Monte Cassino
Antonia zwłoki
rozwlekły po pustyni hieny
Francis poległ w lesie
Moszka spalili na Majdanku
Ablu gdzie jest dzisiaj
twój brat

Adam Szajdecki

jest przed wieczorem czas
kiedy drzewa chcą nam coś powiedzieć
nadstawiamy uszu
tworzymy poezję
jest w nocy czas
kiedy nie możemy zasnąć
otwierając usta do modlitwy
tworzymy poezję
jest zawsze czas
żeby być samotnym
ocierając się o ludzi
tworzymy
coraz większe granice
a nasza poezja
jest coraz bardziej
wolaniem do człowieka

Drugi rzut

Zygmunt Mikulski

OKRESLENIE „pisarz drugorzędny” jest czymś, czego pisarze starają się uniknąć. Ale starają się ci trzeciorzędni, ponieważ dobrzy godzą się z tym, że nie każda książka może dać ich najwyższą miarę. Zresztą z arcydzielną sprawą jest w ogóle niejasna, bo co do tej kategorii zaszerzować? Miał rację (nie wiadomo dlaczego teraz milczą) Hamilton, kiedy powiedział, że laureaci Nobla to na ogół drugo- i trzeciorzędni pisarze. Tak samo, jeżeli wolno mi wyrazić prywatny gust, „Czarodziejską górę” Manna uważam za powieść niższą niż drugorzędną, a przypomnianego teraz adaptacją telewizyjną „Jana Krzysztofa” Rollanda w ogóle nie mogłem strawić. Jeśli ktoś mi zarzuci beceremonialność, to zareplikuję zdziwieniem, że opinie w sprawach literackich w ogóle mogą być tak rozbieżne. Z tekstów autorów zapomnianych, pomniejszych, dalekopianych podejmuje się wybrać dziesięć razy więcej zdań ciekawszych i zmuszających do myślenia, niż z dzieł tych luminarzy. Uroczysta pustka — to wszystko co mogą o nich powiedzieć.

Ale postawiłem sprawę trochę nieprecyzyjnie: nie chodzi mi o literaturę drugorzędną, lecz bezpretensjonalną, a do takiej wolno mi zaliczyć np. „Jezioro Bodeńskie” Dygata. Dlaczego cenię bezpretensjonalną? Bo ta „wielka” może być napuszona. Może być napuszona mimo woli, jak np. „Transatlantyk” Gombrowicza, w którym po — przerekłamanym zresztą — „Ferdydurke” doszła do głosu przesadna łatwość w demaskowaniu polskich kompleksów. Może być napuszona z zamierzenia, kiedy autor nie przypuszcza, by czytelnik sam dał sobie radę z oddzieleniem żywołów (mianowicie wody od powietrza) w czytanej książce i pomaga mu zamaskowanym autokomentarzem, który z konieczności musi być stronniczy. Tutaj jednak pozwolę sobie ominąć nazwiska, bo musiałbym wymienić bliższe współczesności, czego wrodzony oportunizm nie pozwala mi zrobić.

Więc we współczesności widzę zanik ambicji w kierunku tworzenia literatury rzetelnej, niemistyfikatorskiej, solidnej, ale literatury drugiego rzutu. Wszyscy autorzy boją się słówka „czytadło”. A przecież i tu jest tak, jak zaznaczył pewien znawca filmu (notabene mój kolega redakcyjny): „wybredna” publiczność kinowa odwraca się od naiwnych „gagów” z rozpryskiwaniem tortu na twarzach, podstawianiem nóg i wpadaniem do basenów z wodą rzekomo na rzecz wysublimowanego dowcipu intelektualnego, ale na dobrą sprawę rozhuśtać w śmiechu każdą publiczność może bezwzględnie to pierwsze, podczas gdy drugie zawsze nasuwa szereg zastrzeżeń, grymasów i wątpliwości.

Bo rzekomo literatura wynika z roz-

pacy, krzyku, rozdarcia. Ha. „Hamlet” tak, „Faust” tak, „Walka z szatanem” tak. Ale czy również — już nie wymienię przykładów światowych jak H. Ch. Andersen czy E.T.A. Hoffman, porzestaną na rodzimych — np. „Professor Tutka” Szaniawskiego, „O dwóch takich co ukradli księżyc” Makuszyńskiego? By nie wspomnieć o całej pozycji sympotycznej literaturze ludycznej jak humor i satyra? A kabaret? Czy to, co robi Przybora i Wasowski w „Kabarecie jeszcze starszych panów” nie jest kalkami literatury?

Za literaturą spokojnego nurtu opowiadam się również ze względów filozoficznych. Żyję w napiętych czasach. Däniken straszy mnie istnieniem kosmitów, którzy przed wiekami odwiedzili Ziemię w celach instruktażowych, ale kiedyś mogą ją odwiedzić w celach penitencjalnych; Dittfurth rozciąga moje poczucie tajemnicy na wielość światów, jakby w jednym nie była ona wystarczająco groźna; Fromm we fraszkę obraca najazd Marsjan, a nawet niebezpieczeństwo bomby wodorowej (obecnie neutronowej) na pierwsze miejsce pod względem zagrożenia wysuwając... postęp cywilizacji, który sam, bez pomocy Marsjan i bomby jest w stanie pożyć skolonatą ludzkość; nie pozostaje w tyle Parkinson przedstawiając wizję biurowca — mrówkowca, w którym ślepy mechanizm formalistycznych bzdur odsunie człowieka od jakiegokolwiek możliwości udzielenia mu pomocy.

Ladnie?

A więc literatura współczesności powinna zawierać również antidotum na te przeciwności świadomości, jakie przy nosi socjologia, ekonomia, biologia, demografia w ich stadium wysuniętych w XXI wiek. Czy to paradoks? Na filmach zwanych thrillerami lubimy przesiadywać po dobrym obiedzie, w wygodnym obuwiu i z myślą, że jeśli po wyjściu z kina natkniemy się na deszcz, to mamy składany parasol dyskretnie zawieszony u nadgarstka dłoni. Kryminały najlepiej lubimy czytać w kręgu intymnie przygaszonego światła z bocznej lampy i pod ciepłym kocem najlepiej jakiegoś jasnego koloru. Czy za thrillerami i powieściami sensacyjnymi przepadałbyśmy w warunkach inwazji duchów, upiórów, zjaw i wzmoczonego gangsterstwa? To samo z sytuacją dnia dzisiejszego w wymiarze psychologii i filozofii. Wystraszonemu człowiekowi należy się jakieś oszustwo, jakaś obletnica utopijnego, wolterowskiego ogródka, który będzie można uprawiać po szczęśliwym przewaleniu się kataklizmów. Lub w izolacji od ich groźby.

Czy to tchórzostwo? Sobokostwo? Zawężenie perspektywy? To pomoc człowiekowi, koło ratunkowe rzucone mu na fluktach współczesnego czasu. Jeśli jeszcze mówimy o humanizmie.

Redakcja miesięcznika literackiego „Nowy Wyrz”, Rada Wszechnicy SZMP i Młodzieżowa Agencja Wydawnicza są organizatorami konkursu na książkę krytyczną i eselistyką.

Nagrody przyznawane są w grudniu każdego roku za twórczość opublikowaną w danym roku kalendarzowym. Do nagrody konkursowej za najwybitniejszą książkę krytyczną młodych autorów mogą kandydować autorzy, którzy w roku wydania książki nie przekroczyli 33 lat życia. Kandydatów do nagród mogą zgłaszać wydawnictwa, nie wyklucza to jednak możliwości nadesłania książki przez ich autorów. W tej kategorii zostanie przyznana jedna, główna nagroda konkursu w wys. 13 tys. złotych.

Do nagrody konkursowej za wyróżniającą się eselistykę lub cykl publikacji krytycznych mogą kandydować autorzy, którzy nie przekroczyli 30 roku życia. Kandydatów do nagród mogą zgłaszać redakcje pism literackich i innych. Swój pracę — w postaci wycinków prasowych ze wskazaniem pisma i daty publikacji — mogą również nadsyłać kandydaci ubiegający się o nagrody. Będą brane pod uwagę prace opublikowane w roku, w którym przyznawane są nagrody. W tej kategorii przyznane zostaną:

I nagroda — w wysokości 8 tys. złotych
II nagroda — w wysokości 3 tys. złotych

Nieprzekraczalnym terminem nadsyłania prac na konkurs jest 20 listopada każdego roku, przy czym decyduje data stempla pocztowego.

Nagrody przyznaje sąd konkursowy powołany przez organizatorów w skład którego wejdą przedstawiciele fundatorów i ZLP.

publicznych województwa rzeszowskiego, w Czytelni Biblioteki Głównej WSP i Czytelni Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie. Dział Oświatowy w Rzeszowie będzie również przysyłał komplet tekstów na życzenie uczestnika konkursu. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane autorom. Prace nagrodzone i wyróżnione będą drukowane na łamach „Nowin”, „Profilów” i „Prometeja” oraz wykorzystane w audycjach Rzeszowskiej Rozgłośni Polskiego Radia (honoraria za druk wg obowiązujących stawek autorskich).

Przewiduje się następujące nagrody: I nagroda — 9990 zł; II nagroda — 4990 zł; III nagroda — 3990 zł oraz 3 wyróżnienia po 2990 zł. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w listopadzie 1979 r. w Rzeszowie i stanowić będzie część programu „III Rzeszowskich Spotkań z Literaturą Radziecką”.

Gdański Oddział Związku Literatów Polskich przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, ogłasza ogólnopolski konkurs na opowiadanie współczesne i nowelę. Organizatorzy liczą na twórcy dające wyrazistą obraz naszego współczesnego życia, zarówno od strony przemian społeczno-politycznych, jak również obyczajowo-moralnych i materialnych.

Konkurs ma charakter otwarty. Może w nim wziąć udział każdy, niezależnie od przynależności do Związku Literatów Polskich czy innych stowarzyszeń twór-

KONKURSY

Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznania nagrody głównej oraz prawo innego niż to podane rozdziału nagród.

Prace należy nadsyłać na adres „Nowy Wyrz”, ul. Kierbedzia 8/10 69-728 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „konkurs”.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz Zarządem Oddziału Związku Literatów Polskich w Rzeszowie, przy współpracy z Wydawnictwem „Książka i Wiedza” w Warszawie, Katedrą Filologii Rosyjskiej Wydziału Humanistycznego WSP w Rzeszowie oraz Zarządami Wojewódzkimi ZSMP i SZSP w Rzeszowie ogłasza ogólnopolski konkurs otwarty na tłumaczenie małych form współczesnej prozy radzieckiej.

Konkurs prowadzony jest pod patronatem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej w Rzeszowie w ramach „III Rzeszowskich Spotkań z Literaturą Radziecką”.

W konkursie mogą wziąć udział wszyscy miłośnicy literatury radzieckiej. Warunkiem zakwalifikowania się do oceny jest przetłumaczenie co najmniej jednego obowiązującego tekstu. Konkurs trwa do 20 października 1979 r. Prace opatrzone godłem w ilości 3 egzemplarzy należy nadsyłać na adres: Wojewódzka Biblioteka Publiczna, ul. Tkaczowa 13, 35-010 Rzeszów.

Na kopercie należy zaznaczyć: konkurs na przekład. Do pracy konkursowej należy dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres uczestnika konkursu. Teksty do tłumaczenia otrzymać można w Czytelni Głównej WBP w Rzeszowie przy ul. Tkaczowa 13 oraz w czytelniach bibliotek

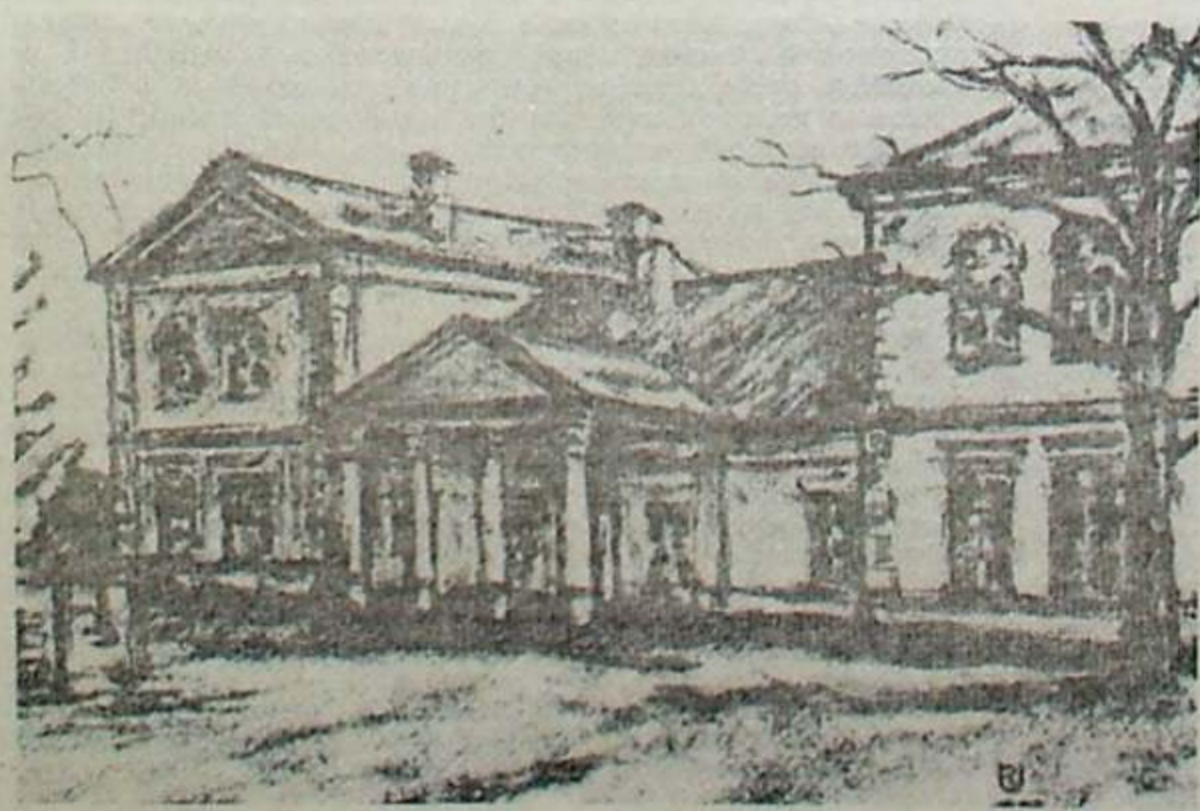
czych. Rozpatrywane będą tylko prace oryginalne, nigdzie dotąd nie publikowane w całości ani w całości, o objętości do 30 stron maszynopisu z podwójnym odstępnem (interlinią). Ilość prac jednego autora ogranicza się do trzech utworów. Teksty, w trzech egzemplarzach maszynopisu, podpisane godłem, należy nadsyłać na adres: Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, ul. Chlebnicka 2, 80-339 Gdańsk w terminie do 31 października 1979 r., z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki”. W wątpliwych przypadkach decyduje data stempla pocztowego na kopercie. Do przesyłki należy dołączyć zalakowaną kopertę opatrzoną godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Ustala się następujące nagrody regulaminowe: — jedna nagroda pierwsza w wysokości 15.000 zł; — jedna nagroda druga w wysokości 12.000 zł; — jedna nagroda trzecia w wysokości 8.000 zł; — jedno wyróżnienie w wysokości 5.000 zł. Ponadto przewiduje się nagrodę specjalną „Poltelu” za najlepszy utwór o walorach noweli filmowej oraz dwa wyróżnienia specjalne (à 5.000 zł) GTPS dla utworów zakwalifikowanych przez jury do nagród i wyróżnień, których tematyka byłaby związana z Wybrzeżem Gdańskim, jego tradycjami kulturalnymi, obyczajowymi, procesami integracyjnymi, związkami z morzem i gospodarką morską.

W skład jury oprócz przedstawicieli organizatorów wejdą: przedstawiciel Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich i przedstawiciel Oddziału Bydgoskiego Związku Literatów Polskich. Rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi w styczniu 1980 r. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwotności utworów nagrodzonych i wyróżnionych.

Sekretariat konkursu: Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, Gdańsk, ul. Chlebnicka 2, tel. 31-23-33.

ZAPOMNIANE ZABYTKI LUBELSZCZYZNY W RYSUNKU RAJMUNDA URBANOWICZA



Lublin. Ulica Nadbystrzycka — dwór

Fot. J. Kolasa

Murowany dwór, położony przy ul. Nadbystrzyckiej 38 a, jest jednym z mniej znanych zabytków na terenie miasta Lublina. Powstał on zapewne w pierwszej połowie XIX wieku, być może w wyniku rozbudowy wcześniejszej, osiemnastowiecznej, budowli murowanej o charakterze dworskim. W drugiej połowie XIX i na początku XX wieku obiekt ten był kilkakrotnie przebudowywany.

Teren, na którym znajduje się dwór, wchodził w skład wielkiego folwarku utworzonego na przedmieściu Rury w XVII stuleciu przez Jezuitów. W roku 1774, to jest w dwa lata po kasacji zakonu Jezuitów majątek ten, stanowiący Fundusz Komisji Edukacji Narodowej, przeszedł z rąk przywileju króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w posiadanie Antoniego Suchodolskiego. Zmieniając kolejno swoich właścicieli, folwark, zwany Rury Jezuleckie, w latach 1902—19 stał się własnością rodziny Michalewskich, która administrowała nim do roku 1944.

Dwór przy ul. Nadbystrzyckiej stanowi budowlę założoną na rzucie prostokąta, której część środkowa jest par-

terowa, a boczne — piętrowe. Elewację frontową dworu akcentuje, umieszczony symetrycznie na jej osi, czterokolumnowy portyk. Od strony elewacji ogrodowej znajduje się, zachowany już tylko fragmentarycznie, taras. Obecna, klasycyzująca forma dworu ukształtowana została w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku.

W pobliżu dworu stoi murowany spichlerz, pochodzący z pierwszej połowy XIX stulecia. Jest on jedynym, zachowanym elementem dawnego zespołu budynków gospodarczych, należących do folwarku Rury Jezuleckie.

Utrwalony na rysunku Rajmunda Urbanowicza dwór tworzy wraz z pozostałościami parku, spichlerzem oraz aleją wjazdową interesujący, zarówno pod względem walorów krajobrazowych jak i wartości zabytkowych, zakątek.

(ru)

KRONIKA KULTURALNA

• Z pomocami szkolnymi dla klas I-III są rzeczywiście spore problemy. Skąd się one wzięły? Ministerstwo Oświaty i Wychowania dla pierwszych klas zreformowało szkoły opracowało listę niezbędnych pomocy naukowych, na której widnieje ponad 100 pozycji. Były to pomoce zupełnie nowe, nie produkowane wcześniej przez Zakłady Pomocy Naukowych i Zaopatrzenia Szkół. Stopniowo uruchamia się ich produkcję. W tej chwili nasz przemysł produkuje mniej więcej 70 proc. asortymentu pomocy szkolnych dla klas najmłodszych — stwierdził w wywiadzie dla „Sztandaru Ludu” Tadeusz Szymoński, dyrektor „Cezusu” w Lublinie.

• Przez kilka tygodni na oborze szkoleniowo-wypoczynkowym w Lubyczy Królewskiej koło Tomaszowa przebywał Centralny Zespół Artystyczny ZHP, założony w 1945 roku i kierowany dotychczas przez harcmistrza PRL, Władysława Skorczewskiego. Podczas swego pobytu na Zamojszczyźnie zespół wystąpił w kilku miastach województwa.

• Wydawnictwo UMCS „Annales” opublikowało prace Jana Gurby i Tadeusza Łoposzczyńskiego, pięć lat działalności Wydziału Humanistycznego UMCS, przedstawiająca historię oraz współczesną strukturę i problemy wydziału, który pierwszych absolwentów wydał w 1956 roku.

• W Puławach zakończył działalność Studencki Ośrodek Nauki, Kultury i Pracy, w którym uczestniczyło 14 kół naukowych

z uczelni Lublina. Studenci prowadzili prace naukowo-badawcze, brali udział w czynach społecznych i zrealizowali kilka innych zadań o charakterze praktycznym. Wyniki co wartościowszych badań będą, być może, opublikowane w „Studiach Puławskich” i „Tece Puławskiej”, wydawnictwach Towarzystwa Przyjaciół Puław, które wystąpiło z taką sugestią.

• Pierwsza połowa sierpnia w kulturze lubelskiej upłynęła pod znakiem „ogórków”. Na tym nie można było uznać za wydarzenie niedzielne koncerty orkiestry strażackiej w Natęczynie oraz spontaniczne, improwizowane występy wokalne młodzieży na Rynku Kazimierza Dolnego.

• 15 maja w lubelskim BWA otwarto wystawę malarstwa Henryka Musiałowicza (ur. 1914 w Gnieźnie). Znany artysta pokazał część prac ekspozycyjnych niedawno w warszawskiej „Zachęcie”. Wystawa stołeczna (i sposób jej urządzenia) stała się powodem sprzecznych opinii krytyki; przeważały jednak pochlebne.

• Galeria przy ul. Mińskiej w Warszawie prezentowała twórczość artystów wytypowanych przez kilka krajowych BWA. Lubelska instytucja rekomendowała malarstwo Stanisława Góreckiego, wykładawcy Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, którego niedawna wystawa lubelska (rysunek) wzbudziła żywe zainteresowanie publiczności.

• W sierpniu zamojskie BWA urządziło wystawę grafiki Barbary Narębskiej-Debskiej, autor-

ki bardzo wyrafinowanych formalnie, aluzyjnych kompozycji współtworzącej znaną niegdyś tzw. toruńską szkołę grafiki.

• Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie prezentował fotografie krajoznawcze — rezultat ubiegłorocznego pleneru w Nowodworze koło Deblina. Tego rodzaju zbiórka WDK urządziła od lat dwuletnio; jedno z nich odbyło się na terenie Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

• Przebudowywany w różnych latach, w zrabie swych murów gotyckich „domek kata” w ogrodzie przy Al. Długosza w Lublinie mają opuścić dotychczasowi użytkownicy. Proponujemy, aby dwukondygnacyjną budowlę przeznaczyć na cele kulturalne. Swą drogą zastanawiamy, że dotąd obiektu tego nie poddano badaniom naukowo-historycznym i architektonicznym.

• Wystawa wyrobów „Cepeli”, koncerty zespołów amatorskich, spotkania z twórcami ludowymi, targi sztuki ludowej — oto niektóre pozycje programu „Dni Frampola”, które odbyły się w pierwszej połowie sierpnia w tej miejscowości.

• W krasnostawskim Muzeum Regionalnym czynna jest wystawa przedstawiająca historię miasta i okolicy od wyzwolenia w 1944 roku do czasów współczesnych. Dużo oryginalnych dokumentów i eksponatów innego rodzaju stanowi o atrakcyjności ekspozycji.

• Dr Jan Trochimski, lektor języka rosyjskiego w lubelskiej Akademii Medycznej, otrzymał nagrodę drugiego stopnia w zakresie literatury i kultury na ogólnopolskim konkursie prac doktorskich, poświęconych wiedzy o ZSR i przyjaźni polsko-radzieckiej.



Seans ufologiczny

LUBELSZCZYŻNA — kraina UFO! Gdzie indziej, w górach albo nad morzem, ledwie się dojrzy gdzieś daleko na niebie okrągły kształt „latającego spodka”, a u nas... U nas spotkania z Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi zdarzają się w niedziele i w dni powszednie. Proszę bardzo: jeszcze niedawno pan Jan Wołski, rolnik ze wsi Emilcin pod Opolem Lubelskim uczestniczył w „bliskim spotkaniu trzeciego stopnia” — wszedł w bezpośredni kontakt z istotami z Kosmosu, dał się zważyć i zmierzyć na pokładzie ich ufolotu, a już mieszkańcy wsi Piotrków na Jabłoniu stali się bohaterami „bliskich spotkań pierwszego stopnia” — obserwowali UFO krążące nad wsią a nawet zawieszające się na gałęziach drzew.

W pierwszym przypadku pospieszył na miejsce „spotkań” magister Blania, w drugim — Witold Wawrzonek, który stwierdził (co też opisał barwnie w ostatnim numerze „Kamenu”), że piotrkowskie UFO to lipa: mieszkańcy Piotrkowa widzieli jakoby po prostu rakietę wyrzucaną przez gości gospodarza W. — bliżej „niezidentyfikowanego” rolnika z tej wsi. Pod czego wpływem doszło do strzelania rakietami — Witold Wawrzonek nie wyjaśnia.

Autor niniejszego felietonu przypuszcza jednak, że siłą napędową „rakietowej akcji” w Piotrkowie był fakt wprowadzenia do organizmu gości rolnika W. preparatu chemicznego o wzorze C_2H_5OH . Dobrze więc się stało, że w Piotrkowie kosmitów nie było, ergo — nie mogło tam dojść do „bliskiego spotkania trzeciego stopnia”. Dla niektórych przybyszów z Kosmosu wejście w kontakt z osobnikami ziemskimi wydziałającymi opary wyżej wspomnianego preparatu, może stać się — jak to wywiódł niezłomie Stanisław Lem w jednej ze swoich książek — przyczyną unicestwienia. Jakże mogłyby być tego dalsze skutki — strach pomyśleć!

Ale oto i następne spotkania z UFO na Lubelszczyźnie: „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” Stevena Spielberga w kinie „Kosmos” w Lublinie! Szeroko reklamowany i długo zapowiadany film znanego amerykańskiego reżysera — wreszcie na naszych ekranach.

Powinna się teraz przeloczyć przez polską prasę fala artykułów na temat Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, artykułów powstałych z inspiracji filmem Spielberga; początek dał tygodnik „Film” z 12 sierpnia br. organizując dyskusję redakcyjną pod hasłem: „Czy „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” ukazują sytuację, która mogłaby wydarzyć się naprawdę?” Wzięli w niej udział — oprócz przedstawicieli redakcji — socjolog interesujący się problematyką ufologiczną, astronom, specjalista w dziedzinie lotnictwa i kosmonautyki, reżyser filmowy oraz dwie dziennikarki telewizyjne. Dyskusja — jak należało przypuszczać — spelniała niecierpliwie. Uczestnicy spierali się głównie o to, czy istnieją „latające spodka”, czy mogą istnieć pozaziemskie cywilizacje, a jeśli tak, to czy można by do nich dotrzeć i na odwrót. Natomiast najmniej zastanawiano się nad samym filmem Spielberga, nad jego artystyczną wymową, a przede wszystkim normalnym i filozoficznym przesłaniem tego filmu.

„Bliskie spotkania trzeciego stopnia” są, oczywiście, filmem z gatunku science-fiction, filmem swoiście „przygodowym” — doskonałym pod względem technicznym, trzymającym widza przez cały czas w niesłychanym napięciu. Dodajmy jeszcze, że napięcie to rośnie z każdą chwilą, osiagając w końcu niewiarygodnie wręcz wysoki stopień. To jest z jednej strony zasługa „efektów specjalnych”: plastycznych i muzycznych, ale z drugiej strony — moralnego przesłania „Bliskich spotkań trzeciego stopnia”, które ostatecznie kulminuje w końcowej sekwencji.

Z pozoru film Spielberga jest jakby tylko kontynuacją jego dotychczasowej twórczości: ze słynnymi horror-suspensowymi „Szczękami” na czele. Choć tym razem budzące przerażenie i popłoch „niewiadome” okazują się pozaziemskimi pojazdami kosmicznymi, a nie — monstrualnej wielkości rekinem-ludojadem. Podobnie jak w „Szczękach”, w „Bliskich spotkaniach...” spotykamy się nierazko z banałem i naiwnością, szczególnie w konstruowaniu sylwetek bohaterów (jeden z polskich recenzentów ukuł nawet termin celowej „polifoniczności” najnowszych amerykańskich dzieł filmowych z gatunku science-fiction, co ma jakoby wyjaśnić niedomogi ich warsztatu literackiego), ale też w obydwu filmach zaskakuje olbrzymie „wyczuwanie przestrzeni” przez Spielberga i ogromny rozmach widowiskowy, jaki cechuje jego twórczość.

Fabula „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” jest nieskomplikowana: mnożą się oto na świecie spotkania z UFO, następują próby porozumienia, dążą do kontaktu z nieznanymi przybyszami naukowcy ale także i „zwyczajni” ludzie, którzy gotowi są jednak do największych poświęceń, do pokonania największych przeszkód, aby doszło do wzajemnego poznania i zrozumienia dwóch cywilizacji. Nie ma też w tym filmie atmosfery — tak charakterystycznej na ogół dla gatunku science-fiction — zagrożenia, agresji. Przeciwnie: jest chęć i potrzeba wzajemnego poznania, konfrontacji na drodze pokojowej. I w ostatniej sekwencji filmu do takiego spotkania dochodzi.

Staje się jasne, że dwie wielkie sity mogą wyciągnąć do siebie dłoń z przyjaznym uśmiechem. Ta wiara Spielberga w ludzkość, to główny walor jego filmu.

M.D.

KALEJDOSKOP

Dziennikarzem — poetom ku przestrodze

Ze wspomnień Konrada Olchowicza, redaktora naczelnego przedwojennego „Kurierza Warszawskiego” („Czwierć wieku z Kurierem Warszawskim” — Wydawnictwo Literackie, Kraków): „Poeci, jeśli nie chcą na zawsze rozstać się z poezją, powinni szukać raczej zarobku w jakiegokolwiek innej pracy, bodaj tuż kamienie na szosie, niż idąc po linii najmniejszego oporu chwycić się na pozór pokrewnego, bliższego niż inne rodzaje pracy — dziennikarstwa. Tak bowiem jak [...] niebezpieczna była dla dziennikarstwa inwazja zawiedzionych w aspiracjach i ambicjach poetów, którzy w dziennikarstwie szukają zastosowania dla swych niewypalonych poetyckich, tak na poetów rzetelnego natchnienia i uskrzydłonych wlotów storków jeszcze groźniejsza zasadzka czai się w dziennikarstwie. Tu przecież muszą oni trwonić rozrzutnie, z niepowetowaną dla szerszej poezji szkoda, własną ambicję poetycką przez rozmielenie jej co dnia na drobna monetę w artykułach czy bezimiennych notatkach...”

Można i inaczej

„Kurier Polski” (nr 175) podał za agencją Reutersa, że w mieście Grandham w Anglii odbędzie się wkrótce licytacja czaszki Olivera Cromwella. Ostatni raz głowę sławnego lorda widziano wówczas, gdy w roku 1661 zwolennicy króla przenieśli ją po ulicach Londynu świętując w ten sposób przywrócenie władzy monarchii. Głowę tę obcięto mu w trzy dni po śmierci.

„Pojawienie się po 315 latach tak rzadkiego „ekspozatu” wywołało zrozumiałą podejrliwość wśród specjalistów. Ekspertów oświadczyli, że czaszka zostanie dokładnie zbadana, bowiem „nie wolno oszukiwać nabywcę, który zechce ozdobić nią swój kominek...”

Dobrze, że czaszka nie znajduje innego zastosowania. Można jej górna część przerobić np. na czaszę do picia „Johnny Walkera”, w której to whisky naukowcy amerykańscy mieli ostatnio wykryć substancje rakotwórcze.

A swoją drogą komentarze zbyteczne...

Opinia Andrzejewskiego

Jerzy Andrzejewski pisze w „Literaturze” (nr. 33) w swej stałej rubryce „Z dnia na dzień” nie tylko o pogodzie, ale i o literaturze. „Od kilku dni, w związku z nowym miesiącem, dość znacznie zmienił się skład przybyszających, sporo osób odjechało, inni przyjechali, pozostawiam

Jednak te sprawy „personalne” bez komentarza, nie ma bowiem w większości wypadków znaczenia, czy bawi tutaj pani X, czy też pani Y, pan Z czy też pan W.” I dalej: „W związku z wcześniejszym zapiskiem, iż nie ma dla mnie większego znaczenia, kto tutaj (mowa zapewne o ośrodku pracy twórczej literatów — uw. red.) w charakterze gości przebywa. Ach nie! To wciąż nie jest wyrazem lekceważenia tych najprawdopodobniej pocztowych i pożytecznych ludzi, którzy, jak wszędzie tak i u nas, tworzą do dziesięćdziesiąt procent członków Związku Literatów. A i to stwierdzenie nie znaczy w najmniejszej mierze, abym rzucił się w ramiona pozostałych dziesięciu procent. Po prostu coraz mniej we mnie zainteresowania dla ludzi tzw. środowiska, czegoś może się od nich nauczyć, w czym mnie mogą wspomóc?”

W tym samym numerze „Literatury” Tadeusz Szymanek obruszył się na felietonistę tygodnika „Itd” za chichot na temat jego publikacji. Wobec chichotu — stwierdza — jest się bezradnym. Chyba jednak nie — dowodem tekst Szymanek.

Korekta „Literatury” widocznie urlopuje. Grzegorz Korecki omawia książkę Tadeusza Chrościelewskiego, ale notka pod recenzją głosi „Tadeusz Chmielewski.” Zupa i lupa to nie to samo!

Mleczne i z wyszynkiem

A. Bocheński w „Kulturze” (nr 33) przytacza charakterystyczne liczby. W 1957 roku mieliśmy w Polsce 525 barów mlecznych. W 1973 — 469, w 1976 — 425, w 1977 — 418. Wyraźny spadek. „A przecież jada w nich o wiele większa rzesza ludzka niż we wszystkich innych kategoriach lokalii gastronomicznych razem wziętych.” A jak przedstawia się tabela rozwojowa barów alkoholowych i innych? 1957 — 1361, 1973 — 3785, 1976 — 5618, 1977 — 6000. A restauracji? 1957 — 1485, 1975 — 3521, 1976 — 3550, 1977 — 3630.

„Ktoś — pisze Bocheński — na jakimś stanowisku w pionie gastronomicznym zdecydował bary mleczne likwidować, a inne mnożyć. Kto to jest — chcielibyśmy wiedzieć — z imienia i nazwiska? Przecież ten człowiek odpowiada za gniew, żal i niewygodę dziesiątków tysięcy ludzi, co dzień, przez cały rok. Gdyby zezwolił i spowiewał jednego obywatela — znalazłby się przed kolegium i zapłacił słońce za wyrządzoną krzywdę. Idzie o to, kto i jak odpowiada za krzywdę społeczną. [...] W lipcu 1975 roku [...] dyrektor powstałego wówczas Zjednoczenia Przemysłu Gastronomicznego zapowiedział, że posiadać będziemy do 1980 roku — 1000 barów mlecznych. [...] Dyrektora diabeł wziął — a do końca lipca 1979 otwarto ich 25.”

A. Bocheński nie porównuje cen za potrawy w barach mlecznych i barach z wyszynkiem. Sądzimy, że tego rodzaju zestawienie również byłoby interesujące. Po prostu różnica zanikają...

Myśleć, młodzi!

W „Sztandarze Młodych” (nr 199) Edmund Męclewski zamieszcza kolejny komentarz w stałej rubryce „Nad Renem”. Tytuł komentarza brzmi: „Odszkodowanie dla zbrodniarza”. Obok winiety „Nad Renem” i tytułu widnieje (bez podpisu) zdjęcie... Edmunda Męclewskiego. Męclewskiego zna cała Polska telewizyjna, więc się nie pomylił, ale kiedy do ręki bierze gazetę Polak zamieszkały stale za granicą, może myśleć, że to nie Męclewski, ale... Herbert Kappeler, o którym mowa w tekście. A oo będzie, jeśli Męclewski zażąda od redakcji „Sztandaru Młodych” odszkodowania za obrazę?

Co robi sekretarz redakcji?

Gdzie? W „Zyciu Literackim”, Olgierd Terlecki pisze w 32 nr-ze tego tygodnika: „Jeżeli zaś ten oto tekst, jaki przedkładał niniejszym Czytelnikom, wygląda poprawnie, to tylko dlatego, iż pleczołowicie, żmudnie, w pocie czoła i z najnowszym pod ręką wydaniem słownika ortograficznego zajmuje się nim nasza nieoceniona korekta.” O ile nam wiadomo, korekta czytuje teksty złożone uprzednio przez linotypistę. Jeśli musi je poprawiać dopiero w trakcie procesu produkcyjnego, powstają dodatkowe tzw. przesłady. Jak się z nich tłumaczy red. Bogdan Bogatko, sekretarz redakcji zasłużonego „Zycia”?

Nasi za granicą

W „Głosie Szczecińskim” z 11 sierpnia Edwin Walter opisuje swój powrót samochodem z Rumunii (jeszcze przed wprowadzeniem wladomanych utrudnień benzynowych) do Polski. Przy okazji chwali turystę z Lublina, jadącego wartburgiem, który użył mu platynkę (drobnych elementów aparatu zapłonowego). Okazało się, że platynki z wartburga pasują do trabanta. (Może ta wiadomość przyda się posiadaczom trabantów?) Ale dalej autor stwierdza: „Na temat uczynności polskich zmotoryzowanych turystów mam mimo pozytywnych doświadczeń z lubliniakiem dość niesprecyzyzowane zdanie. Owszem, na postojach okazują sobie nawzajem wiele życzliwości, ale gdy jada, to — jak mi się wydaje — zatracają wszelkie altruistyczne uczucia. Takie właśnie wrażenie odniosłem, gdy w drodze powrotnej między Zaleszczykami a Tarnopolami biegałem się nad prawą nledomagającego karburatora. Patrząc spod maski unteruchomionego samochodu na szarżujące obok mnie kolumny ze znakami „PL” pomyślałem w rozgoryczeniu, że stojącemu na szosie rodaka nasz zmotoryzowany turysta raczej rozjądza nim mu pomaga.”

Walter dojechał. Więc jednak go nie rozjechali...

POCZTA literacka



R. M. Wielkos. Nie chcę przesądzać sprawy na przyszłość, ale muszę stwierdzić, że obecnie Pani wiersze nie porażają zainteresowań. Są za nadto zdawkowe, nie pogłębione, chciałoby się powiedzieć: naskorkowe. Owszem, zawierają pewne momenty liryczne, jednak zawarta w nich perspektywa myślowa jest jeszcze wąska. Zdarzają się też określenia banalne, jak np. w wierszu „Jak to dobrze”. Zdaje sobie sprawę że nie mając środowiska sprzyjającego rozwojowi zdolności literackich jest zdana Pani na własne siły i niewykluczone, że rezultaty przyjdą. Na razie są to jednak początki, które należy zostawić za sobą.

J. J. Sulejówkę. Nie mogę powiedzieć, że „Film z krótkich opowiadań” mi się nie podobał. Kondensacja, pointa. Ale kiedy przy końcu bierze się Pan do wyliczania jaką ta ulica nie jest, dodanie wrażenie przyska. Ta litania ciągnie się ponad wytrzymałość czytającego. Nie zakazuje tym efektem, że jest za długa. Jest zwyczajnie za długa. Wszelako 3 strony nie mogą dyskwalifikować całego tekstu, który jest — powtarzam — zwarty i sprawny. Myślę, że należy utrzymać ten kierunek.

R. Z. Opole Lubelskie. Radość twórczenia to termin bardzo anachroniczny, ale jeśli się nim Pan posługuje, świadczy to o poważnym traktowaniu pracy pisarskiej. Należy się jednak dwie małe poprawki: owa radość przecież przepełniona jest wysiłkiem dochodzącym niejednokrotnie do przecięcia, więc sprawa nie wygląda tak, że pisze się wyłącznie w nastroju psychodelicznym; czegoś w rodzaju radości doświadczają piszący i dają, ale jest to radość okrojona, obwarowana szeregiem warunków komplikujących nasze życie kulturalne i artystyczne w ogóle. W wyznaniach autorów słyszy się dziś często o przymusie pisania. Lagodnie określili to jeszcze Kazimierz Brandys mówiąc, że dla niego pisanie jest „sposobem bycia”. Nie znaczy to jednak że nad Pański stan psychiczny towarzyszący prowadzeniu pisma (chyba dokładnie! długopisu) chce naprowadzić jakiegoś chimur. Jeżeli meteorologia Pańskiej twórczości wykazuje słoneczność, a tylko przelotne opady, tym służniej wysłał Panu życzenia nomylności, chociaż i burza od czasu do czasu jest potrzebna...

W. F. Lublin. Ma Pan rację. Rzemiosło w poezji nie jest rzemiosłem. W rzemiosłach, w kącikach odpowiedzi redakcyjnych ten wyraz się często pojawia, ale nie w znaczeniu rzemieślniczym. Nie wystarczy w pewnym stopniu opamiętać trudność nawet skutecznego postępowania się słowem nie wystarczy zdobyć tzw. arsenal środków formalnych, by dostąpić miłana poety. Wszelako wysoka sprawność techniczna jest tu nieodzowna. Tyle tylko, że nie wynika ona z prób, ćwiczeń, doświadczeń, lecz z (przypadkowego?) trafu, któremu tylko owe próby, ćwiczenia i doświadczenia sprzyjają. Nie sądzimy jednak, że realizowanie nastroju poetyckiego odbywa się spontanicznie, za sprawą muz, eufonii, czy krasnoludków. Wymaga to znacznego napięcia psychicznego, a także wydatkowania energii potrzebnej na pokonanie oporu słowa. Czyli określona droga do czegoś w rodzaju rzemiosła (również rzemiosła) jako wrócić należy.

A. N. Kielce. Jeśli odpowiadam, że w sprawach własnego piarstwa każdy sam ze sobą musi się rozliczać, nie wynika to z niechęci do udzielenia pomocy, ale z niemożności jej udzielenia w tym stopniu i sensie, jaki Pan sobie życzy. Nie mogę pomóc jako asystent, czy przyboczny autora, bo takiej funkcji nie ma. Mogę pomóc jako czytelnik (ew. wrażliwy), ale z natury rzeczy dopiero wtedy, kiedy tekst jest gotów. O co chodzi. Pisanie jest wyrażaniem najgłębszego siebie, jeśli więc autor ogląda się na czyjeś partnerstwo, znaczy, że „siebie” nie ma, a więc nie tylko nie ma „komu” towarzyszyć, ale nawet nie ma potrzeby pisać. Proszę się zastanowić. Tylko satysfakcja: być podmiotem, być jedynym czynnikiem sprawczym treści, których się nie spotkało w tekstach innych autorów, jest zasadniczą satysfakcją pisarską. I tę kupuje się nie tylko wylegając pracą, ale również w tejże pracy samotnością.

S. G. Chełmża. Dawno już wyszedł z praktyki typ poezji nazywany tytejskim, to znaczy poezji bojowej, marszowej, poezji — pobudki wzywającej na kon. Z pewnością łączy się to z przeobrażeniami w dziedzinie środków walki, nie potrzebujemy jednak nad tym załamwać rąk, ponieważ stał się zawsze najbliższą byłą do grafomanii, a tylko bardzo nielicznym, tym najlepszym (sakramentalny przykład: Broniewski) udawało się potocznie tendencje dożądnej mobilizacji z prawdziwymi wartościami poetyckimi. Pan sobie ułatwił sprawę. Nagromadził Pan znaczną ilość aktualnych hasel, chociaż nie bojowych, to dostatecznie nadużytych przez prasę codzienną, nakładając im stanąć w ordynku nawet nie-że skonstruowanych strof. Wszelka karna zbiórka słów, ale nie wiersz. Po namyśle z pewnością sam Pan dojdzie do tego wniosku i zmieni sposób użytkowania swego — nie przeczę — sprawnego — rymotwórczego pióra.

A.D.M. Krasnystaw, K.Z. Katowice, J.B. Wyszkiw, S.H. Lublin, J.C. Gorzów, Włokoski — nie skorzystał.

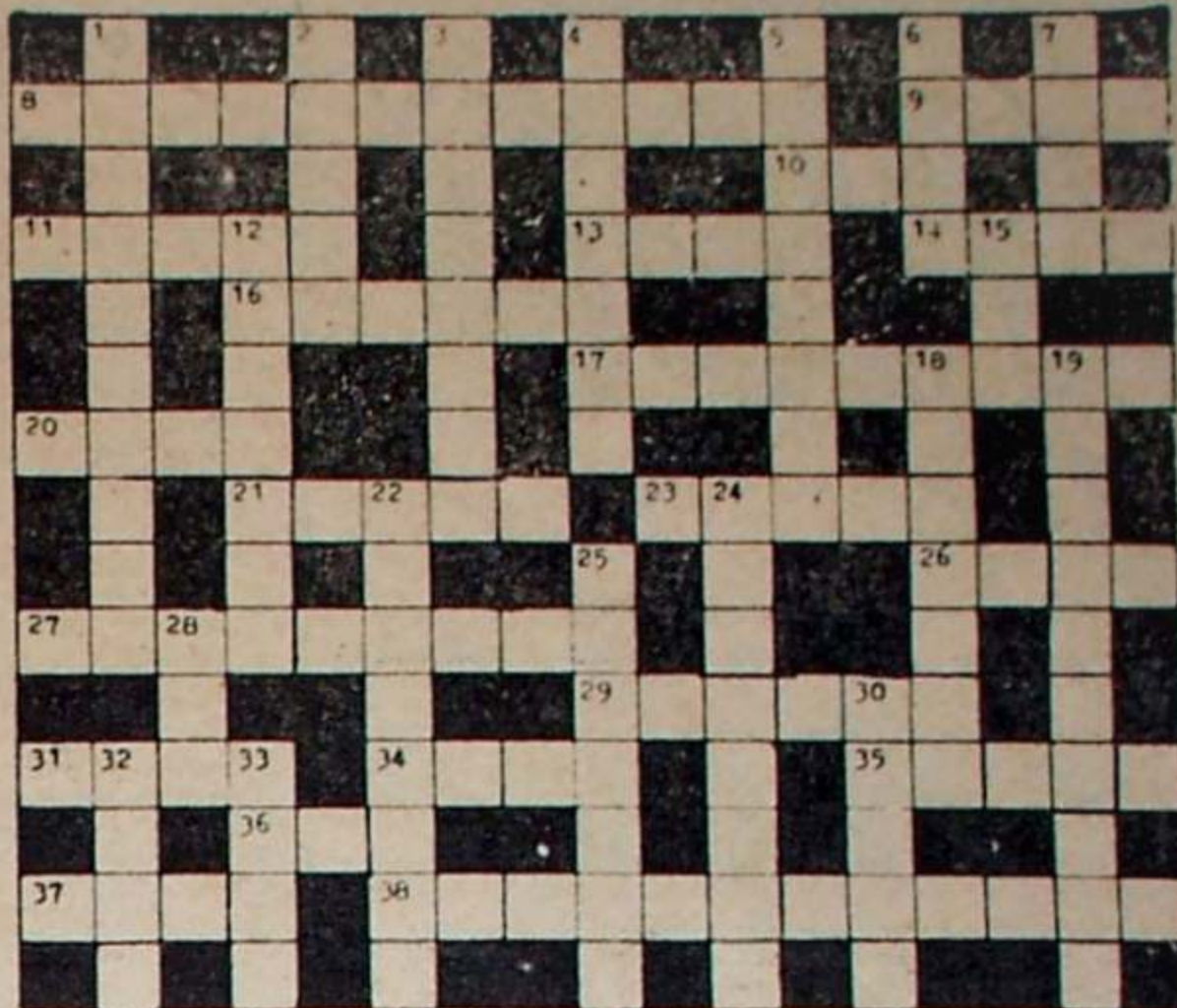
KRZYŻÓWKA

(nr 18)

Poziomo: 8. filozof polski, laureat Specjalnej Nagrody Państwowej, 9. kawalerzysta, 10. mitologiczny duszek leśny, 11. dramat muzyczny, 12. ciepły sfrój sportowy, 14. kamień ozdobny, 15. rzeka w ZSRR uchodząca do Cieśniny Beringa, 17. członek II triumwiratu, zakochany w Kleopatrze, 19. zwierzę hodowlane, 21. twórca słowiańskiego alfabetu, 22. fundament, twarda podstawa, 25. kapitan Nautylusa, 27. bacik na wierzchowca, 29. malarz dziewiętnastowieczny, twórca sentymentalnych obrazów z dziejów Polski, 31. paliwo wielkich pieców, 34. nora, legowisko, 35. miasto wojewódzkie, 36. jeden z trzech pierwszych kantonów szwajcarskich, 37. daleko od Rzymu, 38. między zakładem i ministerstwem.

Pionowo: 1. znany poeta młodopolski, 2. pisuje felietony drukowane na przedostatniej stronie „Szpilek”, 3. miasto Radziwiłłów, w którym odbywa się wiele fragmentów „Potopu”, 4. teatr Dzięwońskiego, 5. bardzo dziurawe, 6. tył statku, 7. starszy pasterz góralski, 12. przedstawił polecję propozycje utworzenia strefy bezatomowej w środkowej Europie, 15. duża antylopa, 18. wielkie jezioro w ZSRR na półwyspie Kola, 19. pisarz, twórca Akademii Zamojskiej, 22. kierunek zainteresowań wyłącznie na wieś i jej problemy, 24. prawdziwe nazwisko Gorkiego, 25. pierwszy dzień miesiąca w kalendarzu rzymskim, 28. flagarny duszek ze „Snu nocy letniej”, 30. filozof z Rotterdamu, 32. druga rzeka Polski, 33. wynik dodawania.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



Rozwiązanie krzyżówki z nr 16.

Poziomo: stolnik, Baszkir, Parandowski, smar, ansa, arab, Arad, oczko, akt, Dante, nonkonformizm, ocena, gra, obrus, Adas, Ball, fat, echo, Monteskiusz, skrzela, secesja.

Pionowo: spis, ospa, Kanada, brokat, klin, rota, arak, Kaba, Mochnacki, sztambuch.

rozkład, Adampol, kufer, NATO, galera, abakus, bies, Flis, Amor, Czas, Odra.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 16 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Anna Grum 20-607 Lublin, K. Wallenroda 2/6, Agnieszka Salla 20-092 Lublin, Hirsfelda 23/6, Eugeniusz Tokarczuk 22-369 Hrubieszów, Polna 15/22, Dorota Głębińska 45-056 Opole 1, Koźnego 34a/5.



LOT I „PIES”

W nr 13 czasopisma „Kamieny” ukazała się wzmianka prasowa w dziale „Kalejdoskop” na temat zamieszczenia przez nas ogłoszenia reklamowego w dwumiesięczniku „Pies” nr 2 (160). W związku z tym Dział Reklamy i Wydawnictwo Polskich Linii Lotniczych wyjaśnia, co następuje:

Przy wyborze czasopisma lub gazety, w której zamieszczamy ogłoszenie reklamowe, bierzemy pod uwagę segment rynku, do którego jest adresowane i związaną z tym skuteczność naszego apelu reklamowego. Jeśli chodzi o wydawnictwo Związku Kynologicznego, dwumiesięcznik „Pies”, rozprowadzane jest ono w całości w prenumeracie krajowej i zagranicznej (10 800 egz.) i adresowane do hodowców psów rasowych, a więc przeważnie ludzi zamożnych, mogących w każdej chwili być naszymi pasażerami.

Informacja o zmianie konfiguracji przy obsłudze linii lotniczej do i z Madrytu nie jest wprost proporcjonalna do faktu ewentualnego organizowania wystaw psów rasowych w Mad-

rycie. Ze też można było wyciągnąć taki wniosek?!

Kierownik
Działu Reklamy i Wydawnictw
Jacek Pawlik

UWAGA, KRUSZON!

W sklepach lubelskich ukazał się niedawno w sprzedaży kruszon pomarańczowy, którego butelka kosztuje ponad 40 zł. Jest to napój smaczny, ale na pewno nie przeznaczony dla dzieci, ponieważ zawiera ok. 14 proc. alkoholu. Tymczasem ekspedientki, zapewne nie wiedząc, co zawierają butelki kruszonu oprócz soku pomarańczowego, bez przeszkód sprzedają je wszystkim chętnym, o czym dowiedziałem się od... podchmielonego dwunastolatka, który uraczył się napojem. Nie najlepiej to świadczy o kwalifikacjach handlowych niektórych ekspedientek. Nie śmiem przypuszczać, że w grę wchodzi inne motyw.

Adam Kaczorowski
Lublin

„LITERATURA PARKINGOWA”

W nawiązaniu do listu A. Witkowskiego („Kamieny” nr 16) pragnę poinformować, że ludzka skłonność do uwieczniania swojego nazwiska na murach i tym podobnych, widocznych miejscach jest bardzo długowieczna. Wiem na przykład, że już w XVII wieku praktykowano ten zwyczaj w Kazimierzu nad Wisłą. Prawdopodobnie nie był to przypadek o osobno. Naturalnie, wspominając o tym nie mam zamiaru usprawiedliwiania owych „pisarzy”, szczególnie współczesnych,

którzy pokrywają m. in. ściany klatki schodowej lubelskiej „Astorii” inskrypcjami adresowymi, numerami telefonów etc.

Jadwiga Kozłowska
Lublin

LECA KARTKI

Wydawnictwo Lubelskie coraz lepiej pod względem graficznym publikuje książki, niejedna z nich z powodzeniem może konkurować z najcenniejszymi pozycjami renomowanych oficyn wydawniczych kraju. Smutne zatem, że nie znajduje to wsparcia ze strony lubelskiej drukarni, przede wszystkim jej introligatorni, która byle jak zszywa stronicę książek. Niedawno kupiłam rzecz znanej recenzentki teatralnej, chwalać się interesującą oprawą graficzną autorstwa J. Kostki, z której to książki niedługo potem wyleciało kilka kartek. Znajomi twierdzą, że inne publikacje drukowane w Lublinie cierpią na identyczną przypadłość.

Irena Skonecka
Puławy

SMUTNY POMNIK

Gościłem niedawno w Lublinie, gdzie miałem wątpliwą satysfakcję zobaczyć kamienną postać jakiegoś krótkonogiego i bardzo smutnego jegomościa, stojącą na skwerku przy Al. Racławickich. Do dziś nie mogę ochłonąć ze zdumienia na wiadomość, że ten kamień przedstawia Wieniawskiego! Doprawdy, wybitny muzyk nie zasłużył na takie „upamiętnienie”.

Karol Woźnicki
Warszawa

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Miński (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

- do 23 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następnny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 22 90-950 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-15.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN, Unicka 4.

Numer lamala: Grażyna Szejke, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20 029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 20-93 dział publicystyki i literacki 275-35
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36251



„Nos” wyniuchał...

Co nowego u Karin Stanek?

Niedawno rozgłosiła PR w Lublinie nadała kilka nowych piosenek Karin Stanek oceniając je zresztą krytycznie. Nie będziemy jednak kruszyć kopii o oceny... Wydaje się natomiast, że warto podać choć na tej kolumnie kilka informacji o piosenkierce, która stała się symbolem określonego stylu estradowego. Potem apodyktyczne sądy wydały werdykt: „Karin się skończyła!”

Okazało się, że niezupełnie. Karin Stanek od 1976 roku przebywa na Zachodzie i... zupełnie dobrze daje sobie radę, mimo ogromnej konkurencji.

Początkowo śpiewała w klubach polonijnych w Stanach Zjednoczonych — występowała również w telewizji w programach dla Polonii, a także, jako pierwsza Polka, w popularnym serialu estradowym „Joe Franklin Show”.

Ostatnio przebywa w RFN, gdzie nagrała swoją płytę w języku niemieckim oraz kasety z dwunastoma piosenkami. Płyty i kasety Karin Stanek sprzedawano się także w Australii i Szwajcarii.

W rozmowie telefonicznej Karin powiedziała: *Niedawno odniosłam niespodziewany sukces w Ameryce. Otóż moja kompozycja „Wierny wiatr” znalazła się na liście piosenek wyróżnionych trzecią nagrodą na „The American Song Festival” w Hollywood. Nie licząc trzech osób z Wielkiej Brytanii byłam jedyną piosenkarką z Europy na tej liście i, jak dotąd, jedyną Polką, która zdołała przedostać się przez gestę sito amerykańskiego jury.*

W tej chwili Karin wybiera się do USA, aby nagrać tam swoją kompozycję „Wierny wiatr” dla amerykańskiej firmy płytowej.

Obecnie nagraniami Karin Stanek zainteresowała się nasza wytwórnia „Tonpress”. Jak poinformował niedawno magazyn „Non Stop” na krajowym rynku ukażą się dwa single tej piosenkarki, która — wbrew przedczesnym wyrokom — wcale się nie skończyła.



Jerzy Wilmański

Zbigniew Uchnast

Delegacja

Do gminy w Dyrdymalkach Niewielkich zgłosiła się delegacja chłopów z pobliskiej wsi. Referent uniósł głowę znad papierów.
— A...?
— My tu w sprawie remontu szkoły...
— No...?
— Budynek się wali. W zeszłym roku rozpoczęli remont, porobili dwa dni i przestali. Chcielibyśmy, aby...
— Czy byliście już w tej sprawie ze skargą u naczelnika?
— Nie.
— Może w województwie?
— Też nie.
— Opisałście nas w prasie?
— Na razie nie.
— Fala 72?
— Nie. W ogóle jeszcze nigdzie żeśmy się w tej sprawie nie zwracali.
— Więcej po kiego licha zwracacie głowę i nie dacie spokojnie urzędować? Zegnam.



Rys. Konrad Kozłowski

Z zachowanych rękopisów

Witold Zechenter

Na temat zmysłów

O zmysłach człecznych gdy myślę głęboko,
me rozważania od tego rozpocznę,
że wyjątkową pozycję ma oko,
gdyż pewne sprawy bywają ZAOCZNE.

Inne są zmysły skrzywdzone w tej mierze.
Na przykład pomysł wydaje się słuszny,
gdyby umiał nam z radia wieczernę
koncert współczesnej muzyki ZAUSZNY.

W niejednym barze spis potraw wspaniały,
ach, gdybyż jeszcze miał ten styl odrębny:
co drugi klient przez to ocalały
chwaliby sobie posiłek ZAGĘBNY.

Niejednokrotnie się zdarza aromat,
który przeszkadza nam w czymś tam nieznośnie,
albowiem nos nasz nie może być ponad.
Gdybyż to były zapachy ZANOSNE!

A więc jest krzywdą i niesprawiedliwość
i stąd te myśli w zadumaniu mroczne,
kiedy rozważam z przykrością dotkliwą,
czemu są sprawy jedynie ZAOCZNE?

Roman Gorzelski

Bajki

NAJLEPIEJ

Najlepiej jest drażnić byka
Przy pomocy powiernika.

O MIKROSNOBACH

Nawet wśród mikrobów
Można dostrzec snobów.

BRAK REKLAMY

O niejednej zdolnej mewie
W świecie ptaków nikt nic nie wie.

O SZCZĘŚCIU I ZWIERZĘTACH

Nie przynoszą szczęścia podkowy —
Zwierzętom pociagowym.

O STWORZENIU ŚWIATA

Zdaje mi się, że żyrafa
To jest taka boska gafa!

KROWA

Na smyczy
Też ryczy.

TYLKO DUREŃ

Tylko dureń w złości powie:
Słonecznik jest ze słońcem
w znowie.

ŚWIŃSKA SPRAWA

Niejedno świństwo zrobiła ta świnka,
Lecz nikt ją jakoś o to nie obwinia...

KAŻDY

Każdy mnie omija,
Skarżyła się żmija.

ODWROTNOŚĆ

I kwiat czasem się odchyła
Od motyla do motyla...

Andrzej Lipiński

Ogłoszenia drobne

- Złudzenia tanio sprzedam.
- Rozwody przeprowadzam na raty.
- Szerokie perspektywy rosiaczam na niewąskie pieniądze.
- Wielkie plany rozmiennam na drobna.
- Relikty przeszłości sprzedam po rewelacyjnie niskich cenach.
- Złatwiam wszystkie sprawy korespondencyjne! Anonim!
- Medycyny korespondencyjnie nauczam. Symulanti.